Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

GEMMA CIVITATIS • PAX •

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok X. Warszawa, 5 grudnia 1954 r. (461) Nr 49

Do Czytelników prasy katolickiej

W dniu 5 grudnia cały naród polski pójdzie do urn wyborczych, aby wybrać swych przedstawicieli, którzy w jego imieniu, w jego interesie i przy najżywszej jego współpracy zarządzać będą wszystkimi sprawami danego terenu.

Od pamiętnych dni wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej upłynęło zaledwie 10 lat. Jest to okres czasu niewielki, drobna cząstka tysiącletnich dziejów naszego narodu. Nie trzeba znawców, uczonych, ekonomistów — każdy prosty człowiek, każdy patriotycznie czujący Polak ocenia i zdaje sobie sprawę z historycznego przełomu, jaki się dokonał w tym okresie we wszystkich dziedzinach naszego życia społecznego i naszej gospodarki narodowej.

Odbudowa Warszawy, Nowa Huta, Jaworzno, Kędzierzyn, wielki przemysł Śląska, tysiące zakładów produkcyjnych powstających w całym kraju, likwidacja analfabetyzmu, niespotykany rozwój szkolnictwa, bibliotek, teatrów, urządzeń socjalnych — oto osiągnięcia wciąż wzrastające w toku naszej codziennej, ofiarnej pracy.

Wzmaga się walka o rozwój produkcji rolniczej i produkcji artykułów powszechnego użytku, abyśmy mogli coraz pełniej zaspokajać rosnące potrzeby całego społeczeństwa.

Dla zdecydowanej większości obywateli głosowanie będzie równoznaczne z opowiedzeniem się za oczywistą słusznością socjalistycznego budownictwa, za słusznością programu Frontu Narodowego.

Szczycąc się i chlubiąc naszymi bezspornymi osiągnięciami, nie mamy powodu do ukrywania, że istnieje jeszcze wiele niedostatków w naszym życiu. Nie mamy powodów do ukrywania, że nie wszystkie nasze potrzeby są już w pełni zaspokajane. Nie mamy powodów do ukrywania, że są wśród nas ludzie, którzy żyją jeszcze w trudnych warunkach.

Trzeba sobie zdać sprawę, jak ponurą spuściznę kapitalizmu i okupacji, zacofania gospodarczego i kulturalnego musieliśmy likwidować w okresie ubiegłych dziesięciu lat. Wiele także braków naszego życia płynie z faktu, że znacznie szybciej rosną nasze najrozliczniejsze potrzeby, aniżeli może je zaspokoić w tej chwili przemysł konsumpcyjny i rolnictwo. Jeszcze inne wynikają stąd, że nie zwalczyliśmy dotychczas dostatecznie plagi bezdusznego biurokratyzmu, nieróbstwa i kumoterstwa, że jest w pracy nas samych wiele niedbalstwa i nieumiejętności w wykorzystaniu istniejących możliwości i rezerw, że nie wszyscy wykazujemy na powierzonych nam placówkach właściwą staranność i troskę w dziedzinie potrzeb człowieka pracy.

Jakąż więc bogatą i konkretną treścią mogą wypełnić nasze rozwijające się wciąż życie społeczno-gospodarcze ludzie uczciwi i rzetelnie spełniający swe obowiązki, dobrze znający warunki swego życia i pracy, prawdziwi gospodarze swego osiedla, gromady, dzielnicy, powiatu, województwa.

Dla zdecydowanej większości obywateli głosowanie będzie równoznaczne z wyrażeniem woli współudziału w gospodarzeniu krajem, wyrażeniem naturalnej i słusznej chęci korzystania z przysługujących im uprawnień, aby ich wpływ zaważył bezpośrednio na wykonywaniu narodowych planów w ich gromadzie, powiecie, województwie.

Trzeba wreszcie pamiętać, że pracujemy w niełatwych warunkach. Ostatnie tygodnie przyniosły niebezpieczeństwo poważnego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej. Po załamaniu się koncepcji „europejskiej wspólnoty obronnej", rządy zachodnie a przede wszystkim rząd Stanów Zjednoczonych nie zrezygnował z prób uzbrojenia Niemiec Federalnych. W rezultacie uchwał paryskich i londyńskich powstał plan tzw. unii zachodnio-europejskiej, której istotna treść sprowadza się znowu do odbudowy Wehrmachtu. Bazą jej i siłą kierowniczą ma być sztab dawnych generałów hitlerowskich. Uchwały londyńskie i paryskie wbrew swej frazeologii o pokoju, obronie i gwarancjach mogą przybliżyć niebezpieczeństwo nowej wojny.

Dla zdecydowanej większości obywateli głosowanie będzie równoznaczne z opowiedzeniem się za rzeczywiście słuszną linią naszego Rządu w dziedzinie polityki międzynarodowej, w dziedzinie wzrostu sił obronnych naszego kraju, l i n i ą, która przyczynia się do utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa światowego i której wyrazem jest głos delegacji polskiej na konferencji w Moskwie. W imieniu narodu polskiego, zespolonego z całym obozem pokoju, na którego czele stoi Związek Radziecki, delegacja naszego Rządu raz jeszcze przypomina światu, że tak jak zawsze potrafiliśmy bronić wolności własnej i cudzej, i dziś z dumą bierzemy na siebie rolę obrońcy pokoju i bezpieczeństwa zbiorowego.

(Dokończenie na str. 2)

ANDRZEJ MICEWSKI

O POGŁĘBIENIE POSTAWY INTELEKTUALNEJ ruchu społecznie postępowego katolików

W okresie poprzedzającym wybory do rad narodowych odbyło się w całej Polsce wiele zebrań, organizowanych przez Komisję Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym. Treścią tych obrad były referaty i dyskusje, omawiające dalszy wkład ruchu społecznie-postępowego katolików polskich w dzieło budowy podstaw socjalizmu i rozkwitu naszej Ojczyzny ze szczególnym uwzględnieniem aktualnej, przedwyborczej problematyki. Poniżej zamieszczamy z niewielkimi skrótami referat Andrzeja Micewskiego, wygłoszony na zebraniu Komisji w Warszawie w dniu 19 listopada br., w którym autor omawia przesłanki i formy organizacyjno-polityczne pracy intelektualnej katolików.

REDAKCJA

KOMISJA Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego stawia sobie zadania rozwijania podstaw intelektualnych ruchu społecznie postępowego katolików. Zadania te płyną z przekonania, że istnieje ścisła współzależność między społecznie postępową postawą katolika w życiu ideowo-politycznym a postępowym ujęciem wyznawanego przez katolika światopoglądu. Postawa prawdziwie społecznie postępowa katolika w życiu ideowo-politycznym może mieć miejsce i wynika z posiadania postępowego ujęcia światopoglądu katolickiego.

Musi istnieć zasadnicza jedność postępowości w postawie światopoglądowej i w postawie ideowo-politycznej katolików. Nie może być rozdarcia między konserwatyzmem w ujmowaniu zagadnień światopoglądowych u katolika a postępowością w sprawach społeczno-gospodarczych i politycznych. Katolik albo będzie postępowy w całokształcie swoich poglądów, albo też jego poglądy społeczne będą postępowe tylko pozornie lub niedość konsekwentnie.

Stoimy na stanowisku, że nie można być prawdziwie postępowym społecznie człowiekiem, jeśli wychodząc z pozycji światopoglądu katolickiego nie ujmie się tego światopoglądu w sposób nowoczesny i postępowy.

Mówiąc o postępowości katolików w ujęciu zagadnień światopoglądowych formułujemy to wyrażenie w sensie bardzo określonym i precyzyjnym. Mianowicie chodzi nam o dwa zagadnienia, które wydają się konieczne, aby naszą postawę światopoglądową uznać za postępową. Po pierwsze, będzie to zestawienie doktrynalnych podstaw światopoglądu katolickiego z konkretną rzeczywistością współczesnego świata, a nie ujmowanie tych prawd doktrynalnych w oderwaniu od życia. Światopogląd ma charakter dynamiczny. Powstaje on poprzez rzutowanie niezmiennych prawd doktrynalnych religii katolickiej na konkretną rzeczywistość w świecie. Dlatego światopogląd jest zmienny, choć założenia doktrynalne katolicyzmu są niezmienne. Zmienia się bowiem rzeczywistość, a więc jeden z dwu elementów, które składają się na pojęcie światopoglądu. Światopogląd jest także normatywny, bowiem w naszym rozumieniu w wyniku oceny rzeczywistości przez pryzmat założeń doktrynalnych katolicyzmu powstaje zobowiązanie do działania, do przemieniania świata zgodnie z duchem zasad chrześcijańskich. Drugie zagadnienie, które wiąże się w sposób konieczny ze sprawą postępowości światopoglądu to sprawa jego odniesienia do dorobku i rozwoju współczesnej nauki w zakresie dyscyplin przyrodniczych i doświadczalnych. Zasady filozoficzne światopoglądu katolickiego sformułowane przez jego klasyków, to jest przede wszystkim św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu i rozwijane tak płodnie przez Kościół w ciągu wieków, trzeba dzisiaj w dobie przełomowego rozwoju nauk doświadczalnych odnieść do wyników tych nauk, skonfrontować z nimi i nie zatracając ani źdźbła z niezmiennej doktryny katolickiej, rozwijać jej założenie intelektualne.

Tak więc mówiąc o postępowym ujęciu światopoglądu katolickiego rozumiemy to konkretnie przez odniesienie podstaw filozoficznych i doktrynalnych katolicyzmu do współczesnego życia na świecie, do konkretnych warunków rzeczywistości społecznej świata, oraz odniesienie tych podstaw do rozwoju współczesnych nauk przyrodniczych i doświadczalnych, a także nauk społecznych.

Natomiast zastrzegamy to bardzo wyraźnie, przez postępowe ujęcie postawy światopoglądowej katolika nie rozumiemy w żadnym wypadku, aby cokolwiek można było zmienić z niezmiennych prawd w zakresie wiary i moralności, których depozytariuszem, obdarzonym łaską nieomylności jest Kościół katolicki z Namiestnikiem Chrystusa Ojcem św. na czele. Wychodząc jednak z przeświadczenia o niezmienności wykładanych przez nauczycielski urząd Kościoła prawd doktrynalnych katolicyzmu, musimy sobie stale stawiać zadanie rozwijania podstaw intelektualnych światopoglądu katolickiego, zakładając, że oczywiście nasze rozważania i poszukiwania intelektualne wyznacza doktryna katolicka, strzeżona autorytetem nieomylności urzędu nauczycielskiego Kościoła.

*

W warunkach polskich każda wielka sprawa narodowa, każde zadanie, które powinno skupić siły całego społeczeństwa musi się dokonywać przy współudziale ludzi reprezentujących tak światopogląd marksistowski, jak światopogląd katolicki. W warunkach polskich udział katolików w realizacji zadań Frontu Narodowego jest konieczny dla osiągnięcia i rzeczywistego wykonania zadań ogólnonarodowych. W naszym rozumieniu nie ma żadnej doniosłej sprawy z punktu widzenia dobra ogólno-narodowego, która mogłaby być obojętna dla katolików. Wychodząc z tego założenia staje się oczywista troska o społecznie postępową postawę katolików polskich. Chodzi o sylwetkę katolika społecznie postępowego, którego postępowość byłaby całkowicie konsekwentna i zharmonizowana z podstawami światopoglądu katolickiego, następnie chodzi o to, aby światopogląd katolicki ukazać w ujęciu współczesnym, w odniesieniu do rzeczywistości świata oraz w odniesieniu do dorobku nauk doświadczalnych. Światopogląd katolicki w pojęciu ludzi niewierzących i wyznających filozofię materialistyczną był i jest niestety bardzo często słusznie łączony z konserwatyzmem w sprawach społecznych. Obecnie ruch społecznie postępowy katolików wkroczył na drogę łączenia światopoglądu katolickiego z socjalistycznymi przekonaniami społecznymi. Ruch nasz udowodnił w swoich rozpracowaniach teoretycznych, że przyjęcie społecznie - gospodarczych założeń socjalizmu nie stoi w sprzeczności z doktryną katolicką ani z postulatami społecznymi katolicyzmu, mimo że tradycyjna koncepcja chrześcijańsko - społeczna stała na gruncie własności prywatnej środków produkcji, solidaryzmu, korporacjonizmu itd. Obecnie chodzi o to, żeby realizując konsekwentnie postępową społecznie postawę katoliccy intelektualiści umieli także znajdować coraz to nowe twórcze ujęcie konsekwencji swego światopoglądu.

Zadanie nasze polega na tym, aby wykazać, że światopogląd katolicki jeśli chodzi o jego istotę, a nie o interpretację, wykorzystywaną dawniej i dzisiaj przez obóz konserwatyzmu, jest głęboko twórczy i konstruktywny w sprawach społecznych. Stoimy na stanowisku, że światopogląd katolicki w jego ujęciu społecznie postępowym jest siłą ideową mogącą inspirować ludzi wierzących do ofiarności i wkładu pracy dla budowania podstaw gospodarczych ustroju socjalistycznego i konkretnej walki o wzrost dobrobytu narodu. Stoimy natomiast na stanowisku, że nieproduktywna społecznie, rozkładająca i nietwórcza jest postawa obojętności i indyferentyzmu światopoglądowego. Indyferentyzm światopoglądowy rodzi objawy rozkładu społecznego, sceptycyzmu i nihilizmu, które zagrażają dzisiaj chrześcijańskiemu dorobkowi kultury w zachodniej Europie.

Z punktu widzenia ogólnonarodowych celów Frontu Narodowego w Polsce mobilizująco wpływać może jedynie wyraźna postawa światopoglądowa. Indyferentyzm światopoglądowy rodzi w naszym kraju tendencje absencji społecznej, a jego skrajny i wulgarny wyraz uwidocznia się objawami bikiniarstwa i rozwydrzenia części młodzieży.

Jeśli jednak chcemy, aby nasze stanowisko mówiące o głęboko twórczej, konstruktywnej społecznie wymowie światopoglądu katolickiego było uznawane przez ludzi niewierzących, to musimy pokazać nasz światopogląd w całej jego czystości doktrynalnej bez naleciałości i uwarunkowań społecznych, jakie wyniósł on ze świata kapitalistycznego. Linia nasza i zadania ideowo-polityczne polegają na tym, że chcemy jednocześnie służyć obiektywnemu dobru i perspektywie światopoglądu katolickiego, z drugiej strony bezkompromisowo zwalczając wszystko to, co było jego uwarunkowaniem reakcyjnym, co nie do-

(Dokończenie na str. 2).

WEZWANIE intelektualistów katolickich w Polsce skupionych wokół tygodnika „DZIŚ I JUTRO" do redaktorów czasopism katolickich we Francji

Drodzy Przyjaciele!

Zwracamy się do Was w chwili wymagającej wzmożonego poczucia odpowiedzialności za rolę światopoglądu katolickiego w świecie, a także za losy i najbliższą historię obu naszych narodów. My, katolicy i Polacy w sercach naszych nosimy wyobrażenie o Francji, jako o kraju, który przechowuje i rozwija najlepsze tradycje intelektualne i kulturalne katolicyzmu oraz który reprezentuje bardzo głębokie poczucie godności narodowej. Naród i parlament francuski w ostatnich miesiącach dokonał dzieła, które znaczy zwycięskie zamknięcie pierwszego, niezwykle niebezpiecznego etapu walki o pokój w Europie i wzajemne bezpieczeństwo państw europejskich. Potępienie przez Wasz naród i odrzucenie przez Wasz parlament układów o europejskiej wspólnocie obronnej, które miały wskrzesić agresywny Wehrmacht, to dowód, że wielki naród francuski, naród olbrzymich tradycji kulturalnych i politycznych jest nadal młody i twórczy historycznie, posiada zdrowy, dynamiczny instynkt samozachowawczy, że naród francuski potrafił w połowie XX wieku odegrać rolę w historii Europy, godną swoich wielkich tradycji. Nie ma dość wielkich słów, aby potępić niebezpieczeństwo, jakie zawierały układy o europejskiej wspólnocie obronnej i wynieść zasługi i rolę społeczno-polityczną tych, którzy potrafili je unicestwić. Mogli to zrobić i zrobili przede wszystkim Francuzi, którzy równie dobrze jak Polacy poprzez wieki swojej historii doświadczyli, czym jest militaryzm niemiecki. U nas w Polsce powszechna jest świadomość, że naród francuski odrzucając układy wojenne dał wkład nie tylko w rozwój i perspektywy swojej przyszłości, ale w rozwój wielkie humanistyczne perspektywy innych narodów europejskich, a w tej liczbie także w rozwój i perspektywy demokratycznych i pokojowych Niemiec.

Katolicy polscy patrzą także z niekłamanym podziwem na poczynania katolików francuskich, którzy w całym katolicyzmie zachodnio-europejskim najbardziej się przyczynili do tworzenia katolicyzmowi perspektywy niezależnej od jednego przemijającego porządku społecznego, zgodnie z nadprzyrodzonym charakterem katolicyzmu. Katolicy francuscy uczynili bardzo dużo na łamach swoich pism i wydawnictw, aby ukazać katolicyzm w całej jego czystości doktrynalnej, aby nie zezwolić na nadużywanie zasad naszej wiary jako narzędzia w polityce agresji. Obrona najlepszych chrześcijańskich tradycji kultury europejskiej przed nihilizmem i wszelkim rozkładem oraz spustoszeniem moralnym, które są konsekwencjami wojny — oto wielka droga, jaką w naszym rozumieniu kroczył katolicyzm we Francji.

Tym większa jest nasza nadzieja i wiara katolików francuskich, że nie zawiodą w obecnym, niezwykle odpowiedzialnym momencie. Koła kierownicze polityki wojennej przegrupowały siły i próbują stare cele przeforsować nowymi metodami. Agresywna armia europejska, a w jej składzie odrodzony Wehrmacht, może powstać poprzez ratyfikację układów z Paryża i Londynu.

Katolicy francuscy, w imię moralnej funkcji społecznej naszego światopoglądu katolickiego, w imię bezspornego interesu obu naszych narodów i wszystkich narodów Europy, w imię humanizmu i pokojowego współżycia między narodami — apelujemy do Was, abyście dołożyli wszelkich starań, aby potężnie rozległ się głos katolicyzmu we Francji przeciw nowej wersji układów wojennych. Apelujemy do Was, aby rozległ się Wasz głos po stronie zasad i gwarancji wzajemnego bezpieczeństwa państw europejskich, jedynej realnej podstawy pokoju w Europie. Tylko układ o zbiorowym bezpieczeństwie państw europejskich, w którym udział wezmą także zjednoczone na podstawach demokratycznych Niemcy, stworzy pełną i trwałą gwarancję pokoju w Europie.

Nikt bardziej nie może się zrozumieć w tych sprawach, niż my, Polacy i Francuzi, niż my katolicy francuscy i polscy. Nikt w dzisiejszych warunkach nie może bardziej skutecznie walczyć przeciw układom wojennym niż Francja — dlatego oczy wszystkich narodów europejskich zwrócone są stale na Paryż. Narody chcą w tym wielkim mieście, mieście najpiękniejszych tradycji, widzieć ostoję rozkwitu humanistycznej troski o człowieka i dobro narodu. Wierzymy, że Francja nie zawiedzie naszych nadziei, wierzymy, że katolicy francuscy dadzą swój wkład w sprawę, od której zależy dalszy bieg historii narodów europejskich.

Ks. prof. dr Jan CZUJ — Rektor Akademii Teologii Katolickiej.

Jan DOBRACZYŃSKI.

Jerzy HAGMAJER — redaktor „Dziś i Jutro".

Ks. prof. dr Stanisław HUET.

Ks. prof. dr Józef IWANICKI — Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego,

Ks. prof. dr Józef KELLER.

Ks. prof. dr Kazimierz KŁÓSAK.

Janina KOLENDO — redaktor „Życia i Myśli".

Ks. prof. dr Seweryn KOWALSKI — Prorektor Akademii Teologii Katolickiej.

Andrzej KRASIŃSKI — redaktor „Dziś i Jutro".

Ks. prof. dr Tadeusz KRUSZYŃSKI — Prorektor Akademii Teologii Katolickiej.

Mieczysław KURZYNA — redaktor „Tygodnika Powszechnego".

Ks. prof. dr Wincenty KWIATKOWSKI.

Ks. prof. dr Antoni KWIECIŃSKI.

Prof. dr Tadeusz LEHR-SPŁAWIŃSKI.

Konstanty LUBIEŃSKI — redaktor „Dziś i Jutro".

Tadeusz MAZOWIECKI — redaktor „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego".

Andrzej MICEWSKI — redaktor „Dziś i Jutro".

Ks. prof. dr Marian MICHALSKI — Prorektor Akademii Teologii Katolickiej.

Prof. dr Kalikst MORAWSKI.

Bolesław PIASECKI.

Zygmunt PRZETAKIEWICZ — redaktor „Słowa Powszechnego".

Ks. red. dr Wacław RADOSZ.

Ryszard REIFF — Sekretarz Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego.

Prof. dr Stefania SKWARCZYŃSKA.

Ks. red. Mieczysław SUWAŁA.

Ks. prof. dr Władysław WICHER.

Prof. dr Andrzej WOJTKOWSKI.

Ks. prof. dr Mieczysław ŻYWCZYŃSKI.

SPOJRZENIE NA FRANCJĘ

Apel grupy polskich intelektualistów i działaczy katolickich do redaktorów pism katolickich we Francji pojawia się bardzo w porę.

Już po raz drugi w ciągu kilku miesięcy oczy narodów europejskich zwracają się w kierunku Francji. Najpierw wtedy, gdy w decydujących dniach cały naród, a pod jego naciskiem także parlament francuski obalał układy o „europejskiej wspólnocie obronnej". Dzisiaj ponownie nadsłuchuje się głosów najszerszej opinii francuskiej, które potępiają nowy wariant układów wojennych w ramach tzw. „Unii zachodnio-europejskiej". W obu wypadkach chodzi w istocie rzeczy o to samo, mianowicie o to, by nie dopuścić do powstania agresywnego Wehrmachtu.

Manewr premiera Mendès-France'a, który sprzyjał odrzuceniu jednego wariantu układów wojennych, aby potem tym łatwiej przeprowadzić w parlamencie drugi, był rzeczywiście dość sprytny. W wyniku chytrych zabiegów pana Mendès-France'a i jego zachodnich wspólników niebezpieczeństwo odrodzenia militaryzmu niemieckiego przybrało realne kształty. Ponadto politycy świata zachodniego zdobyli się na jeszcze jeden chwyt, mający zmylić czujność antywojennie nastawionych społeczeństw ich własnych krajów. W sposób nie pozbawiony tupetu twierdzą, że ratyfikacja oraz wejście w życie nowej — po konferencjach w Londynie i Paryżu — wersji układów wojennych, układów, które de facto wskrzeszają Wehrmacht, nie będzie przeszkadzało późniejszym rokowaniom ze Związkiem Radzieckim i innymi prowadzącymi pokojową politykę państwami europejskimi.

Coraz jednak więcej ludzi w Europie rozumie, że stworzenie nowej, agresywnej armii zachodnio-niemieckiej nie tylko utrudni rokowania, ale i niebezpiecznie zaostrzy sytuację międzynarodową.

Zbyt poważne, zbyt dramatyczne są doświadczenia przeszłości i ostatniej wojny, aby ktokolwiek mógł bezczynnie przypatrywać się ponownemu uzbrajaniu nacjonalistycznych Niemiec zachodnich. Trzeba przeciwdziałać. Kluczowa rola przypada tu narodowi francuskiemu, który już raz potrafił odrzucić układy wojenne. Chodzi o to, aby we wszystkich warstwach i kołach francuskich społeczeństwa obudziła się pełna świadomość obecnego stanu rzeczy i jego wszystkich konsekwencji.

Tej potrzebie wychodzi właśnie naprzeciw apel grupy intelektualistów i działaczy katolickich z Polski do redaktorów prasy katolickiej we Francji.

Znaczenie tego apelu wynika z dwu zasadniczych przyczyn. Po pierwsze — jest on skierowany do redaktorów katolickiej prasy we Francji, a więc także do intelektualistów i działaczy katolickich. Sens społeczny akcji kierowanej przez określone środowisko społeczne jednego narodu do podobnych kół innego narodu jest poważny dzięki temu, że najlepiej potrafią się zrozumieć właśnie ludzie określonego środowiska, zawodu czy stanu. Dlatego zwrócenie się grupy polskich intelektualistów katolickich do redaktorów katolickich we Francji, a przez nich — do katolików francuskich, zwrócenie się właśnie obecnie, jest aktem, który może liczyć na zwiększoną skuteczność i oddziaływanie.

Po drugie, znaczenie apelu intelektualistów i działaczy katolickich polega na jego reprezentatywności społecznej. Grupa duchownych i świeckich katolików, którzy podpisali apel, jest wyrazicielką przekonań katolików w Polsce, a w skład jej wchodzą aktualne autorytety społeczne. Pod apelem znalazły się podpisy księdza rektora i prorektora Akademii Teologii Katolickiej, księży profesorów Akademii z Krakowa i Warszawy; podpisy księdza rektora i profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego obok podpisów księży — katolickich działaczy społecznych, wybitnych katolików świeckich ze świata nauki, literatury i polityki. Figurują tu także nazwiska publicystów i redaktorów prasy katolickiej w Polsce.

Apel został podpisany przez grupę duchownych i świeckich katolików w Polsce, ale nazwiska pod nim umieszczone są reprezentatywne dla polskiej społeczności katolickiej, jej instytucji, kierunków myśli i sił wartościowych, twórczych społecznie.

Jesteśmy więc przekonani, że ten głos katolickich intelektualistów oraz działaczy z Polski trafi do serc i umysłów katolików we Francji w dzisiejszym ważnym momencie dla przyszłości zarówno Polski, jak i Francji.

ANDRZEJ WYSZYŃSKI

Jeszcze 17 listopada Andrzej Wyszyński przemawiał podczas obrad Komitetu Politycznego Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. W parę dni później atak serca przerwał jego wieloletnią i owocną działalność. Umarł na posterunku, służąc do ostatniego tchnienia sprawie swej ojczyzny, sprawie pokoju światowego i współpracy międzynarodowej.

Andrzej Wyszyński, potomek wychodźcy polskiego, poświęcił swą niepospolitą inteligencję i zdolności dziełu budowy państwa socjalistycznego. Będąc z zawodu adwokatem, miał okazję zużytkowania swej wiedzy prawniczej na różnych stanowiskach w organach aprowizacji, oświaty i sądownictwa. Osiągnął wysokie stanowisko zastępcy Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ZSRR.

Jednocześnie zmarły poświęcał się twórczej pracy naukowej i pedagogicznej jako profesor procedury karnej na Uniwersytecie Moskiewskim imienia Łomonosowa. Swym dziełom teoretycznym z zakresu kryminalistyki i prawa międzynarodowego zawdzięczał powołanie na członka rzeczywistego Akademii Nauk ZSRR, przy czym był do ostatnich czasów członkiem prezydium tej najwyższej instytucji naukowej.

W latach II wojny światowej Wyszyński zajmuje się działalnością dyplomatyczną. W tym czasie został zastępcą ministra spraw zagranicznych, którym był wówczas Wiaczesław Mołotow. W 1949 roku objął po Mołotowie stanowisko ministra spraw zagranicznych, a na wiosnę 1953 roku mianowany został stałym przedstawicielem rządu radzieckiego przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, z tytułem pierwszego zastępcy ministra spraw zagranicznych ZSRR.

Praca Wyszyńskiego w zakresie dyplomacji wiąże się ściśle z walką Związku Radzieckiego o pokój i powszechne bezpieczeństwo. Brał on udział w licznych konferencjach międzynarodowych i wielokrotnie przewodniczył delegacji radzieckiej na sesjach Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Bojowy temperament Wyszyńskiego czynił z niego groźnego dla przeciwników polemistę, który poza krasomówstwem świetnie umiał posługiwać się zarówno logiczną i przekonywającą dialektyką, jak i ciętą ironią. Głębokie przeświadczenie o słuszności bronionej sprawy i uczciwość wewnętrzna zmuszały nawet przeciwników do szanowania go, a bezpośredniość, urok w obcowaniu i wysoka kultura jednały mu osobistą sympatię wielu działaczy politycznych, z którymi się stykał podczas swych licznych pobytów za granicą.

Znalazło to wyraz w wychodzących poza ramy oficjalnego protokołu ciepłych słowach, którymi uczcili Andrzeja Wyszyńskiego delegaci wszystkich państw reprezentowanych na obecnej sesji Zgromadzenia ONZ.

W osobie Andrzeja Wyszyńskiego odszedł rzeczywiście wielki mąż stanu i rzecznik pokoju międzynarodowego.

Do Czytelników prasy katolickiej

(Dokończenie ze str. 1)

Czytelnicy prasy katolickiej!

Zwracamy się do Was, abyście przez oddziaływanie na swoje środowisko przyczynili się ze wszystkich sił do pogłębienia dojrzałości motywów głosowania i do zapewnienia powszechności udziału obywateli w wyborach.

Są jeszcze w naszym kraju ludzie, którzy opowiadając się za słusznym programem Frontu Narodowego, odczuwają trudności w zdecydowanym przeciwstawieniu się czynnikom, przeszkadzającym w realizacji tego programu. Spotkać można na przykład jeszcze jednostki, które opowiadając się za granicą na Odrze i Nysie odczuwają trudności w potępieniu polityki amerykańskiej, choć codzienne fakty potwierdzają, że polityka ta stanowi przyczynę remilitaryzacji Niemiec zachodnich i potencjalnego zagrożenia naszej granicy. Są jeszcze w naszym kraju jednostki, które słusznie chcą, aby zaopatrzenie miast w produkty żywnościowe stale nadążało za tempem rozbudowy przemysłu. Ludzie ci jednak nie chcą, czy też są niezdolni do zrozumienia konieczności likwidacji zacofania technicznego i organizacyjnego produkcji rolnej. Są jeszcze w naszym kraju ludzie, którzy wprawdzie opowiadają się za słusznością sprawy obozu pokoju, którzy nie chcą wojny, których przerażają przygotowywane na Zachodzie plany zmierzające do wtrącenia świata w otchłań atomowej zagłady, nie czują jednak potrzeby prowadzenia walki przeciwko kapitalizmowi, gdyż brak im dostatecznej świadomości ideowo-politycznej, lub też nie mogą przezwyciężyć mentalności człowieka starego świata. Na te niekonsekwencje w myśleniu, na te wahania w postępowaniu liczą wrogowie Polski.

Wybory do rad narodowych powinny być okazją do pogłębienia postawy politycznej, do odrzucenia wahań i niezdecydowania, do jasnego widzenia nie tylko skutków zła, ale i jego przyczyn. I tu jest także Wasza rola!

Czytelnicy prasy katolickiej!

W wyborach do rad narodowych wezmą udział szerokie rzesze katolików polskich. Ich udział w głosowaniu wynikać będzie z motywów wspólnych całemu narodowi. Faktem jest jednak, że nie ma dziedziny publicznego życia narodu polskiego, w której nie można by wziąć w rachubę funkcji społecznej katolicyzmu. Wymowa rzeczywistości jest taka, że funkcja społeczna katolicyzmu w Polsce może poważnie pomagać pomyślnemu biegowi spraw narodowych i wyzwalać poważne zasoby energii społecznej. Jest zadaniem nas wszystkich dbać o to, aby społeczne oddziaływanie intelektualne i moralne płynące z religii katolickiej wyznawanej przez olbrzymie rzesze społeczeństwa wspomagało i wzbogacało twórcze siły narodu. W ten właśnie sposób przyczyniamy się zarazem do tworzenia właściwych warunków dla misji Kościoła katolickiego w epoce socjalizmu. I w ten właśnie sposób stwarzamy warunki dla zaspokajania potrzeb kulturalnych ludzi wierzących.

Zwracamy się do Was, abyście we własnym środowisku ze wszystkich sił wspomagali i poszerzali społeczną aktywność ludzi wierzących, abyście przyczyniali się do uruchamiania nowych źródeł energii narodowej, abyście bezkompromisowo i skutecznie walczyli o realizację programu Frontu Narodowego, który jest programem wspólnym całego narodu polskiego. Wybory do rad narodowych stanowią poważną okazję do urzeczywistnienia tej właśnie drogi.

Czytelnicy prasy katolickiej!

Powszechny udział w wyborach do rad narodowych zwiąże jeszcze bardziej najszersze rzesze naszego społeczeństwa z władzą ludową i stworzymy warunki dla lepszego i sprawniejszego zaspokajania potrzeb ludzi pracy.

Powszechny udział w wyborach do rad narodowych zadokumentuje jeszcze raz i wzmoże jeszcze bardziej jedność naszego narodu, siły naszego Państwa Ludowego, naszą niezłomną wolę pokoju. Udaremnimy wszelkie zakusy niemieckich odwetowców i amerykańskich polityków, wskrzesicieli Wehrmachtu, wszystkich, którzy chcieliby zagrozić naszej niepodległości i naszym granicom.

Naszym wspólnym obowiązkiem, a więc i Waszym, Czytelnicy prasy katolickiej, jest, aby te zadania zostały spełnione. Przenoście do świadomości milionów ludzi wierzących właściwe rozumienie spraw ogólnonarodowych, pogłębiajcie w swym środowisku wiarę w świetlaną przyszłość naszego narodu, umacniajcie przekonanie o słuszności drogi, którą kroczy nasz naród wspólnie z 900-milionowym obozem pokoju, ukazujcie perspektywy dnia jutrzejszego i nierozerwalny związek z naszą osobistą pracą i trudem, wzbogacajcie udział ludzi wierzących w życiu naszego narodu twórczymi wartościami płynącymi z światopoglądu katolickiego, umacniajcie jedność narodu we Froncie Narodowym, mobilizujcie do powszechnego i świadomego udziału w głosowaniu i do aktywnej współpracy z radami narodowymi. Bądźcie ofiarnymi działaczami Frontu Narodowego.

O POGŁĘBIENIE POSTAWY INTELEKTUALNEJ RUCHU SPOŁECZNIE POSTĘPOWEGO KATOLIKÓW

(Dokończenie ze str. 1)

tyczyło istoty katolicyzmu, a było naleciałością epoki porządku kapitalistycznego.

Ruch społecznie postępowy katolików ma odwagę zabiegania o dobro Kościoła i przyszłości światopoglądu katolickiego w państwie socjalistycznym, ale jednocześnie będzie on zwalczał wszystko to, co jest reakcyjną polityką pod płaszczykiem frazeologii katolickiej, co jest reakcyjną funkcją zniekształconego ujęcia światopoglądu katolickiego. Autorytet ruchu społecznie postępowego katolików w obozie socjalistycznym będzie zależał od jego konsekwentnej postawy w tej dziedzinie. Wyrazem organizacyjnym ruchu społecznie postępowego jest Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Katolicy wraz z całym narodem współdziałają pod kierownictwem partii klasy robotniczej w realizacji zadań Frontu Narodowego. Chcemy, aby ruch społecznie postępowy katolików podnosił autorytet światopoglądu katolickiego w oczach ludzi kierujących obozem rewolucji, chcemy zapewnić perspektywy światopoglądowi katolickiemu i zapewnić udział ludzi tego światopoglądu w realizowaniu historycznych zadań naszego narodu. Nie było i nie jest naszym zamiarem tworzenie katolickiej partii politycznej. Wynika to z naszych założeń ideologicznych.

Trzeba umieć prawdzie patrzyć w oczy. Dlatego nie okłamując siebie ani innych musimy stwierdzić, że konkretnym i aktualnym zadaniem ideowo - politycznym ruchu społecznie postępowego katolików jest niewątpliwie zaostrzenie walki ideologicznej wewnątrz obozu katolickiego. Wynika to z całych powyższych rozważań. W szczególności wynika to z konieczności ukazania obozowi postępowemu doktryny katolickiej i światopoglądu katolickiego w jego czystym autentycznym wyrazie, nie obciążonym naleciałościami konserwatyzmu społecznego. Po drugie, zaostrzenie walki ideologicznej wewnątrz obozu katolickiego jest potrzebne w aktualnej sytuacji dla wielkiej sprawy żywotnego zadania kontynuacji linii dwustronnego porozumienia Kościoła i Państwa. Niezależnie od faktu, że w dalszym ciągu od dłuższego już czasu jesteśmy świadkami normalizacji i pozytywnego układania się stosunków między Kościołem a Państwem, nie może to odwracać naszej uwagi od patrzenia w przyszłość, od rozważania perspektywy tego zagadnienia. Przyszłość zaś rysuje się w ten sposób, że linia dwustronnego porozumienia Kościoła i Państwa będzie mogła być realizowana, jeśli katolicy, duchowieństwo katolickie będzie stało na gruncie panującego w Polsce socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego. Wielka więc perspektywa współistnienia i współdziałania w naszym kraju różnych światopoglądów jest zależna od ostatecznego przełomu w świadomości społeczno - politycznej duchowieństwa polskiego i katolików świeckich. Po trzecie, zaostrzenie walki ideologicznej wśród katolików w Polsce jest potrzebne w związku z konkretną bieżącą sytuacją katolicyzmu w Polsce i jego poszczególnych instytucji. Chodzi tu o to, aby przemiana świadomości ideowo - politycznej duchowieństwa coraz bardziej znajdowała swój wyraz w atmosferze poszczególnych instytucji katolickich, w atmosferze wychowania kadr młodych kapłanów itd. Wiąże się z tym ściśle zagadnienie polityki personalnej, w której zgodnie z niezmienną strukturą Kościoła katolickiego jurysdykcję kościelną sprawują ordynariusze, a władze państwowe są zainteresowane z punktu widzenia obywatelskiego i politycznego.

W ramach prac Prezydium Krajowej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego będzie działało odtąd 6 sekcji zajmujących się poszczególnymi istotnymi zagadnieniami życia katolickiego w Polsce. Będą to: sekcja publicystyki katolickiej, która staje się nieodzowna w związku z ciągłym rozwojem prasy katolickiej, której niedługo przybędzie nowy tygodnik w Opolu. Druga sekcja ma się zająć zagadnieniami książki i sztuki katolickiej. Zwiększający się stale zasięg działalności wydawniczej instytutu „Pax" na odcinku religijnym, filozoficznym, społecznym i literackim wymaga współdziałania szerokiego kręgu duchowieństwa w ramach sekcji specjalnie tym zagadnieniom poświęconej. Trzecia sekcja będzie się zajmowała zagadnieniem nauczania religii, tak od strony warunków i możliwości pozaszkolnego nauczania religii, jak i od strony kierunku nauczania związanego z wymogami społecznymi. W zakresie tego zagadnienia sekcja ma za zadanie wypracować przedłożenia dla właściwych władz kościelnych i państwowych. Następne dwie sekcje będą poświęcone postulatom pracy naukowej i wychowawczej w seminariach duchownych, która przecież ma najważniejsze znaczenie dla przyszłych kadr polskiego duchowieństwa oraz postulatom dla rozwoju pracy najwyższych zakładów naukowych katolickich w Polsce Ludowej, jakie stanowi KUL i niedawno utworzona w Warszawie za zgodą i przy współudziale władzy kościelnej wespół z państwową Akademia Teologii Katolickiej. Wreszcie szósta sekcja ma zająć się zagadnieniami współczesnego duszpasterstwa katolickiego w Polsce Ludowej. Powstaje tu cały splot skomplikowanych problemów związanych z rozwojem współczesnego duszpasterstwa, jego skutecznością, jego funkcją społeczną itd.

Powyższych sześć sekcji ma za zadanie ująć organizacyjnie problemy rozwoju podstaw intelektualnych katolicyzmu polskiego, a szczególnie ruchu społecznie postępowego w Polsce. Praca tych sekcji będzie się odbywała poprzez opracowywanie źródłowych referatów, a następnie memoriałów i przedłożeń dla władz kościelnych i państwowych. Referaty czy memoriały wypracowane przez każdą z sekcji będą przedstawiane na zebraniach całego aktywu intelektualnego komisji, tj. członków wszystkich sekcji. Zebrania te będą nosiły nazwę studiów ruchu społecznie postępowego katolików.

Studium ruchu społecznie postępowego powinno stać się platformą porozumienia i współdziałania wszystkich twórczych intelektualnych sił katolicyzmu polskiego. Niezależnie od tych centralnych form pracy intelektualnej ruchu społecznie postępowego katolików istnieją jeszcze przy każdej Wojewódzkiej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego sekcje kulturalne grupujące katolicki aktyw intelektualny na terenie danego województwa. Członkowie tej sekcji zgodnie ze swoimi zainteresowaniami będą zapraszani do pracy w poszczególnych sekcjach w Warszawie przy Prezydium Komisji Krajowej. Ale katolicki aktyw intelektualny w każdym województwie ma niezależnie od tego swoje specjalne zadania w ramach sekcji kulturalnych Wojewódzkich Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Zadania sekcji kulturalnych Wojewódzkich Komisji nie zostały dotychczas jasno określone. Było to przede wszystkim dlatego, że w naszej koncepcji wojewódzka sekcja kulturalna powinna przede wszystkim realizować zadania wynikające ze specyfiki swego terenu i tak np. sekcje w Opolu i Olsztynie głównym przedmiotem swoich prac powinny uczynić pracę repolonizacyjną wśród ludności autochtonicznej, sekcje kulturalne we Wrocławiu, w Stalinogrodzie i Krakowie powinny stać się ośrodkami wspierającymi istniejące tam tygodniki katolickie, sekcja w Lublinie powinna być ośrodkiem oddziaływania ideowo - politycznego na Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Ale obok zadań wynikających ze specyfiki terenu wszystkie sekcje kulturalne Wojewódzkich Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego mają pewne zadania ogólne, aktualne na wszystkich terenach i związane z życiem katolickim w całej Polsce. Wchodzą tu takie zagadnienia, jak po pierwsze — ujęcie w swoje ręce całej katolickiej aktywności kulturalnej na terenie danego województwa, zainteresowanie się sytuacją poszczególnych seminariów duchownych, potrzebami kleryków w zakresie odczytów lub wieczorów autorskich, które w porozumieniu z rektorem seminarium sekcje kulturalne powinny organizować w duchu naszych postępowych przekonań społecznych. Wiemy np., że Caritas chce szkolić setki sióstr zakonnych i swoich działaczy katolickich rozsianych po ponad 800 zakładach opiekuńczych tej instytucji. Wojewódzka sekcja kulturalna musi przyjść mu z pomocą. Wojewódzka sekcja kulturalna musi stać się wreszcie ośrodkiem kierowniczym rozprowadzania i kolportowania książki katolickiej, dwumiesięcznika „Życie i Myśl" i całej prasy ruchu społecznie postępowego katolików. Sekcja powinna zastanowić się nad całokształtem życia katolickiego na terenie swojego województwa i wówczas zadania okażą się oczywiste.

Ruch społecznie postępowy katolików nie przypadkiem właśnie w tej chwili stawia zadanie rozwijania prac intelektualnych przed duchownymi i świeckimi katolikami w Polsce. Jest to wynikiem poważnego wzrostu dojrzałości naszego ruchu, który będzie umiał wiązać wyniki pracy ideologicznej z konkretnymi potrzebami życia katolickiego i z postulatami społecznymi Ludowego Państwa.

Właśnie w tej chwili, w okresie wyborów do rad narodowych w Polsce chcemy dać dowód, że nasza praca teoretyczna i intelektualna służy umacnianiu społecznie postępowego oblicza katolików, służy umacnianiu zwartości Frontu Narodowego.

Zbliżające się wybory do rad narodowych mają być właśnie manifestacją jedności władzy ludowej w Polsce z najszerszymi masami społecznymi. Otóż w tej sytuacji wszystkie siły intelektualne katolicyzmu w Polsce powinny wesprzeć i wyposażyć w teoretyczne uzasadnienia tę postawę ideowo - polityczną, która służąc narodowi w ramach socjalistycznego porządku społecznego zapewnia jednocześnie perspektywy Kościołowi w Polsce Ludowej. Taki jest jedyny prawidłowy kierunek rozwijania podstaw intelektualnych ruchu społecznie postępowego katolików.

Andrzej Micewski

SŁUSZNOŚĆ IDEI WSPÓŁPRACY
ludzi o różnych światopoglądach

Przemówienie ks. inf. JANA PISKORZA ordynariusza diecezji stalinogrodzkiej na plenarnym posiedzeniu Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego

Minęło zaledwie dziesięć lat od chwili wyzwolenia naszego kraju i od podjęcia ogromnego dzieła jego społeczno-gospodarczej przebudowy. W ciągu tych dziesięciu lat dokonaliśmy wielokrotnie więcej, niż w ubiegłych wiekach naszej historii. Fakt ten napawa nas dumą i radością, gdyż rozkwit i szczęście naszej Ojczyzny, Polski Ludowej, jest najżywszą troską tych wszystkich obywateli, którzy Ją miłują.

Osiągnięcie tych sukcesów było możliwe dzięki pracy całego narodu, dzięki zespoleniu jego wysiłków we Froncie Narodowym, wyrażającym interesy i pragnienia wszystkich ludzi w Polsce, zarówno wierzących, jak i niewierzących.

Przemawiając tu, z tego miejsca, na Plenum Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, pragnę podkreślić, że w tym dziele budowy lepszej przyszłości naszej Ojczyzny i umacniania Jej historycznych osiągnięć, nie brakowało i nie brakuje katolików polskich, duchownych czy też świeckich działaczy, nie mówiąc już o ogromnych rzeszach ludzi wierzących, dobrych obywateli Polski Ludowej i wiernych synów Kościoła katolickiego.

Obecnie wkraczamy w drugie dziesięciolecie Polski Ludowej. Na samym progu tego okresu spotykamy się z dalszym doniosłym aktem — z wyborami do nowych rad narodowych, które spełniać będą funkcję rządzenia i dalszego umacniania jedności naszego kraju. Wśród kandydatów na radnych na listach wyborczych Frontu Narodowego są i katolicy, duchowni i świeccy działacze ruchu społecznie postępowego. Wśród wyborców nie zabraknie milionów tych obywateli, którzy są synami Kościoła i biorąc udział w wyborach do rad narodowych jako wyborcy, wyrażą w ten sposób swe zaufanie do władzy ludowej.

Praca społecznie postępowych działaczy katolickich Frontu Narodowego w radach będzie istotnym czynnikiem umacniającym jedność narodu. Trzeba tu dodać, że wartość naszego wkładu w dzieło budowy przyszłości Ojczyzny będzie tym większa, im bardziej będzie to wkład wzbogacający, to znaczy — im bardziej będzie on wyrazem twórczego zastosowania społecznych konsekwencji światopoglądu katolickiego w warunkach współczesnej nam epoki, w warunkach budowy socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego w Polsce Ludowej.

Światopogląd katolicki, którego ideą przewodnią jest przykazanie miłości Boga i bliźniego, zawiera w sobie moc twórczej społecznie inspiracji. Dojrzała miłość bliźniego, oparta na zrozumieniu istoty dokonujących się przemian historycznych, jest potężnym czynnikiem mobilizującym ludzi wierzących do świadomego współuczestnictwa w tych przemianach. Naszym zadaniem jest ukazywanie tej prawdy i dawanie jej wyrazu w konkretnych czynach, podejmowanych z pobudek patriotycznych i światopoglądowych, a wspólnie służących sprawie naszej Ojczyzny, sprawie pokoju między narodami, sprawie postępu społecznego świata.

Jesteśmy przekonani, że tym naszym działaniem tworzymy zarazem perspektywy dla religijnej misji Kościoła w nowej epoce. Wierzymy, że udział katolików w radach narodowych potwierdzi raz jeszcze możliwość i słuszność idei współpracy ludzi o różnych przekonaniach światopoglądowych dla wspólnego dobra społecznego, dla dobra naszej Ojczyzny.

TADEUSZ PAJDA

rysował ANDRZEJ POL

OPOWIEŚĆ NIEUROJONA

ZMIERZCH zapadł już dawno i teraz z okien przysadzistych domów sączy się w dżdżysty wieczór mdłe światło żarówek. Cóż, nieduża, poruszana z niemrawego strumyka Zgnilki elektrownia pamięta przysłowiowego króla Ćwieczka, nic więc dziwnego, że w jesienne wieczory mieszkańcy Miławki bez przekonania przekręcają porcelanowe wyłączniki i, wymyślając Bogu ducha winnemu zawiadowcy elektrowni, podkręcają knoty naftowych lamp. Bardziej pomysłowi usiłowali, podłączając prostowniki czy też żarówki na niskie napięcie, „oświetlać się" — jak powiadano — we własnym zakresie. Niektórym to się nawet udawało, ale kiedy od niefortunnego transformatora u Siedlaczkowej spłonęły dwie izby i kryta papą przybudówka — zaniechano podobnych usprawnień.

Tak więc w listopadową szarugę snują się miławczanie trzema uliczkami swojego miasteczka i jedną wysadzaną dębami aleją (przy niej nb. stoi właśnie ta niefortunna elektrownia), brodząc w lepkim błocisku. Czasem przyświeca księżyc, ale za to zawsze towarzyszą im zdewastowane, nieprzydatne latarnie, potrzebne tu tyle, co kłódka w bramie bez ogrodzenia. Jedyna funkcja, jaką tu spełniają, to ta, że stale, wszem i wobec wydają właściwe świadectwo inicjatywie ojców miasteczka...

Miławka. Dziwna to miejscowość i chyba jedna z bardzo niewielu, jakie by spotkać jeszcze w Polsce roku 1954. Prywatny tartak Kantorskiego i przetwórnia owoców GS-u; knajpka Pawła Rosiejki konkuruje ze spółdzielczą gospodą. Konkuruje, i to jeszcze jak. Niedawno pomysłowy Rosiejka przyłączył swój szynk do turbinki z tartaku, dzięki czemu światło u niego takie jak u Kantorskich. Tym też należy tłumaczyć, że w „Barze obywatelskim" co wieczór rojno i gwarno, bo komu tam chce się przesiadywać przy świecy, kiedy tu wesoło, a Rosiejka — wiadomo — dobry człowiek, jak trzeba, to na kredyt da i wypić, i zakąsić...

Rosiejka nie uwija się już za jesionową ladą, ozdobioną przedwojennymi reklamami „książęcego piwa tyskiego", proszku do prania „Persil" i pasty „Erdal" — widomymi znakami dawnej świetności, kiedy tu był nie tylko bar, ale i nieźle prosperujący — jak czasem wspomina właściciel „sklep towarów mieszanych". — Teraz, kiedy w niskim lokalu jest ciasno jak w kościele na niedzielnej sumie — Rosiejka siedzi oparty o przykryty popękaną ceratą stół, zasłuchany w wywody Jana Koguta, wspólnika tartaku Kantorskiego.

— Ja ci powiadam, Drewniak, to nie jest takie proste. To nie pójdzie tak, jak wówczas, w trzydziestym siódmym, pamiętasz...

Na to wspomnienie całe towarzystwo wybuchnęło przytłumionym śmiechem. Tak, pamiętają, jak to wtedy Drewniak wygrał w Miławce dla BBWR ostatnie przedwojenne wybory samorządowe. Ci z tzw. opozycji całą noc pilnowali opieczętowanej i przygotowanej do wyborów urny. Nie upilnowali jednak, bo kiedy któryś tam z rzędu dyżurny wybiegł na chwilę do... wygódki, Drewniak skwapliwie wykorzystał tę nieuwagę wrzucając plik swoich kartek.

— Tak, tak — replikował Drewniak, pierwszy przerywając chichotanie — to nie łatwo, wiem, dziś trzeba inaczej. Gdyby tak więc wysunąć no — dajmy na to — Łatkę, Morawskiego czy Ciągłę z naszego tartaku? Wszyscy to widzą — robotnicy, a przy tym swoi ludzie — dodał szeptem.

— Ja bym jednak — włączył się do rozmowy Rosiejka — ja bym...

— Co byś ty, no — żartował Kogut — siebie byś wysunął, co? Tylko kto by na ciebie, stary, głosował. Całą budę wypadałoby ci przepić z tymi tam — wskazał wzrokiem na przepełnioną salę — a i to kto wie... — Tu zrobił przerwę i po chwili dodał: — zresztą na mnie możesz liczyć, na głosy takich jak Drewniak czy Kantorski też, ale już na syna mojego wspólnika niezupełnie. Niezupełnie — powtórzył, i to takim tonem, że Rosiejka, wychylając z pękatego kufla ostatni łyk piwa, zapytywał sam siebie:

— Diabli go wiedzą, kpi, o drogę pyta, czy co?...

*

Stary Kantorski miał dziś zły dzień. Napierw wypadek przy niezabezpieczonej taśmówce, a koło południa, tuż przed przerwą obiadową, listonosz doręczył nowy nakaz płatniczy z wydziału finansowego. No i te wieczne, niekończące się kłopoty z synem.

— Polityk — mówił z przekąsem — takiego jeszcze wśród Kantorskich nie było.

Adam, jedyny syn Kantorskiego, współwłaściciela tartaku w Miławce, ukończył przed paroma laty uniwersytet i po otrzymaniu dyplomu magistra-inżyniera leśnictwa i nakazu pracy pracował w okręgowej dyrekcji lasów. Ileż to razy przekonywał go ojciec: Adaś, rzuć ty tę swoją dyrekcję, odrobiłeś te trzy lata, więc jesteś wolny.

Młody Kantorski początkowo zbywał ojca żartami, później, kiedy on z kolei usiłował mu przedstawić swoje motywy, dochodziło do przykrych nieporozumień, po których obaj rozstawali się z jednakowym, obopólnym żalem do siebie. Bywały tygodnie, kiedy Adam widywał ojca tylko w niedzielę, celowo pozostawał dłużej w biurze i do domu wracał późnym wieczorem.

Tak więc Kantorski pożegnał się z myślą, jaka nurtowała go już wtedy, kiedy doradzał synowi studia leśnicze. Przestał liczyć na swojego spadkobiercę, wziął do spółki Koguta i razem prowadzili swój dwutrakowy tartaczek. Zresztą dobrze wiedział, że i tak daleko nie ujedzie. Wcześniej czy później trzeba będzie zlikwidować cały kramik, nie warto więc nic inwestować. Ot, póki można, zarobić jeszcze tych parę złotych, a potem pogodzić się z synem i spokojnie sobie żyć.

Czasem, zwłaszcza gdy w pokoju Adama długo w noc paliło się światło, Kantorski próbował syna zrozumieć. Przychodziły mu wtedy na myśl jego rzeczowe uwagi o sprawach, które — jak mówił Adaś — są nie tylko zwycięskie, lecz co więcej — słuszne. I wtedy bardzo potrzebował syna, pragnął jego słów czując instynktownie, że Adam ma mu jeszcze sporo do powiedzenia. Otwierał wtedy drzwi na korytarz i zwolna kierował kroki ku pokojowi na półpiętrze. Ale wtedy albo u Adama gasło światło, albo dolatywała go jakaś cicha skarga żony. Wracał więc, spoglądał na zegarek i kilkoma skinieniami głowy wyrażając zdziwienie z późnej pory, dopowiadał żonie swoje spóźnione: dobranoc.

A rano, kiedy ostatni poranny pociąg odjeżdżał do Kamiennej, Kantorski jadł samotnie śniadanie, później ubierał ciepłą kurtkę i po chwili znikał za ogrodzeniem tartaku.

Kantorski dużo w życiu widział, dużo przeżył i może dlatego właśnie stał się teraz jakoś dziwnie obojętny na otoczenie. Nie oburzał się już nawet na Koguta, mimo iż dobrze wiedział, że ten go oszukuje. Nawet nakazy podatkowe nie potrafiły zachwiać jego równowagi. Ale kiedy dowiedział się, że jego syn jest przewidywany na kandydata do powiatowej rady, poruszyła go ta wiadomość nie na żarty. Prawdę mówiąc, był nawet z tego trochę dumny; idąc w południe do domu na obiad myślał, jakby to było dobrze, gdyby właśnie Adaś, który ma w powiecie przyjaciół, znajomych, że właśnie Adaś powinien mu pomóc. Ot, choćby ten ostatni domiar podatkowy... Ale szybko porzucał te myśli, wiedząc, że o podobną przysługę nigdy syna nie poprosi.

*

Tej niedzieli suma w miejscowym kościele zakończyła się wcześniej niż zazwyczaj. Ksiądz proboszcz nie powiedział dziś kazania — śpieszył się do chorego. Ludzie wychodzili zwolna ze świątyni, zatrzymywali się na pobliskim placyku, zwanym szumnie rynkiem, zagadując się wzajemnie miast przywitania — tym wszystkoznaczącym: co słychać? — Wtedy przyszła właśnie wiadomość: zebranie.

Początkowo sądzono, że to jeszcze jedna więcej plotka, ale kiedy indagowany zewsząd sekretarz gminnej rady potwierdził tę wiadomość — zawrzało. Tego nikt nigdy się nie spodziewał. Już wcześniej szeptano po wsi, że nie warto iść na zebranie przedwyborcze, bo — wiadomo — oni i tak swoich wytypują, niemniej jakoś wszyscy tego oczekiwali z dziwnym niepokojem. Tu i ówdzie sporządzano nawet jakieś listy, takie, ot, na niby; rozważano, kto ewentualnie wejdzie do przyszłej rady. — Teraz, kiedy zebranie miało się rozpocząć już za kilka godzin, co odważniejsi oburzali się:

— Tak przecież nie można, ludzie nie wiedzą, nikt nie przyjdzie.

Ale trudno, delegat z powiatu był już w drodze do Miławki i zebrania przełożyć nie można. Wyprawił więc sekretarz GRN-u, Bieniek rowerem gońca, a ten przystając co kawałek oznajmiał donośnym głosem, że dziś, o godzinie trzeciej po południu, w domu ludowym...

*

Sala domu ludowego pełna ludzi już na długo przed wyznaczoną godziną. Co chwila przynosił ktoś nowiny z pobliskiego komitetu Frontu Narodowego: że już przyjechali, że teraz naradzają się, że podobno ze starej rady nikt nie wejdzie.

— Po co czekać — mówił Łatka. — Jeśli tamci w komitecie uzgodnią kandydatów, to zebranie i tak nic nie pomoże.

Niektórzy zabierali się ku wyjściu.

— Poczekajcie — oponował Marek z GOM-u — zobaczymy, jak to będzie. Przecież jest ordynacja, możemy się nie zgodzić.

Wtedy rozległy się głosy: idą już, idą...

Zebranie było krótkie. Pierwszy zabrał głos przewodniczący GRN-u — Pelc. Mówił nawet do rzeczy i gdyby nie to, że pod koniec prosił, żeby nie zabierać niepotrzebnie głosu, bo *towarzysz z powiatu musi jeszcze dzisiaj obsłużyć zebranie w Maciejkach* — na pewno wszystkim by się podobało. — Teraz wyszedł na podium delegat z powiatu i po krótkim omówieniu sytuacji międzynarodowej oraz osiągnięć naszego przemysłu zaproponował listę kandydatów: Jarząb, Stanisławski, Pelc, Górniak... czytał monotonnym głosem nie wymieniając nawet imion kandydatów. Wtedy na sali zawrzało: chcemy przegłosować kandydatów — wołano — nie chcemy kumotrów, swoich wysuniemy. — Ludzie ruszyli do wyjścia. Pierwszy usiłował ratować sytuację inż. Kantorski. Okrzyki jednak nie ustawały. Dopiero kiedy powstał Jan Marek, uciszyło się na tyle, że można było mówić.

— Obywatele — zaczął poirytowanym głosem — to na pewno nieporozumienie. Pewnie, że przegłosujemy kandydatów, wysuniemy też swoich ludzi...

— Tu nie ma co dyskutować, kandydatów i tak już mają w teczce — krzyknął ktoś pod oknem i znowu zrobiło się gwarno. Po chwili, kiedy Pelc uciszył trochę zebranych, znowu odezwał się delegat:

— Dobrze, zrobimy więc głosowanie — mówił tym samym monotonnym, trochę znudzonym złosem zebraniowego rutyniarza, i nagle wykrzyknął: — Kto jest za władzą ludową?

Na sali zapanowała wyraźna konsternacja. Przez chwilę nikt się nie ruszał, potem jako pierwszy podniósł rękę Pelc, potem Marek, młody Kantorski, Bieniek, Drozd... wszyscy.

— A więc skoro tak — odezwał się triumfująco delegat — skoro tak, to zgłoszoną listę uważam za przyjętą. To właśnie jest lista zrobiona w imieniu władzy ludowej.

Ludzie, zdziwieni takim obrotem sprawy, zaczęli się gwałtownie cisnąć ku wyjściu. Gałężny, drugi sekretarz komitetu gminnego Partii, usiłował jeszcze coś mówić, ale zebrania nic już nie mogło uratować.

Nazajutrz zwołano otwarte, połączone zebranie miejscowej organizacji partyjnej i komitetu Frontu Narodowego. Pierwszy sekretarz długo mówił o nadchodzących wyborach, potem przeszedł do spraw lokalnych wskazując — nie bez pewnej dumy — na Miławkę jako na klasyczny przykład walki klasowej i tłumacząc tym postępowanie delegata powiatu, który — jego zdaniem — skutecznie unieszkodliwił wrogie elementy usiłujące przemycić się do nowej rady. Mówił też o nadużyciach w GS-ie i pijatykach u Rosiejki, ale zebrani daremnie czekali na jakieś polityczne wnioski z obu tych spraw, jak też z niefortunnego niedzielnego zebrania. Dopiero kiedy inicjatywa zebrania przeszła w ręce Gałężnego i bezpartyjnego, młodego Kantorskiego, stało się oczywiste: zebranie trzeba powtórzyć.

*

Dużo to kosztowało zachodu, żeby zapewnić powtórnemu zebraniu przedwyborczemu jaką taką frekwencję. Nawet ksiądz proboszcz ogłaszał, że przecież na tak ważnym dla gromady zebraniu nie powinno zabraknąć nikogo. Koniec końcem w kilka dni po tamtym niewydarzonym spotkaniu Gałężny otworzył drugie zgromadzenie obywateli Miławki, poświęcone wysuwaniu kandydatów do nowej rady narodowej. Na wstępie odezwały się głosy mocno krytykujące stanowisko delegata powiatowego na poprzednim zebraniu i ogłoszono unieważnienie tamtej administracyjnej — jak mówiono — listy. Wtedy ludzie zaczęli interesować się zebraniem nie na żarty. Dyskusja, która była z początku niemrawa, przerodziła się wkrótce w wielką, gospodarską naradę. Mówiono o elektrowni, tym wiecznym utrapieniu Miławki, o GS-ie, spółdzielczej gospodzie, wyboistej drodze na stację kolejową i setkach innych bliskich wszystkim spraw. Raz po raz przewijały się propozycje zmian, napraw i ulepszeń, z którymi łączono nazwiska przyszłych radnych. — Pierwszą kandydaturę zgłosił Bieniek.

— Tu nie wystarczy krytykować — mówił — musimy wskazać naszym kandydatom, co, gdzie i jak naprawić. Dlatego też proponuję do rady Jana Marka, mówię: „Słuchajcie, Janie, postawiliście na nogi ośrodek maszynowy, pomóżcie teraz gminnej spółdzielni".

— Tak, racja — dodał Sidło — jeśli mamy wybierać, to powiedzmy przedtem naszym kandydatom, czego od nich oczekujemy.

Powoli lista zapełniła się nazwiskami: Jan Marek, Jan Gałężny, Adam Kantorski — któremu tu nikt nie wypominał ojcowskiego tartaku. Wybrano nawet z poprzedniej listy takich jak Pelc czy Górniak. — Z kolei zgłoszono kandydaturę Heleny Morawskiej z koła gospodyń. Wtedy podniósł się stary Morawski (majster z tartaku) i wyrażając głośno protest wobec kandydatury własnej córki, zaproponował Łatkę, Ciągłę i Koguta. Jeśli przy dwu pierwszych nazwiskach zapanowało ogólne poruszenie, to przy trzecim — Koguciе — ludzie nie wytrzymali i wybuchnęli gromkim śmiechem.

— A to się, pijaczyna, chce urządzić.

— Po co go do rady, żeby innych rozpijać?

— Ty, Łatka, oddaj najpierw pańswu zboże — podniosły się zewsząd głosy, którym wtórowała ogólna wesołość.

— Ale się ojciec udał, nie ma co — szepce gniewnie staremu Józek Morawski. — Do córki ojciec zaufania nie ma, a Koguta chce do rady. Oczu nie macie, czy co?

Ogólna wesołość jeszcze niezupełnie uleciała z sali, gdy Rosiejka ruszył w sukurs kompanowi i mrugając oczkami zapytał:

— A bo co, czy Kogut to wróg?

— Nie, nie wróg — przyjaciel — zadrwił ktoś i zebrani na nowo wybuchają śmiechem.

— Jeśli tak, to dobrze, ja nie głosuję — groził Rosiejka przeceniając swoje wpływy i skierował się ku wyjściu. Za nim solidarnie podążył Kogut, potem Ciągło, Łatka i jeszcze paru innych. Drewniak pozostał, on jest pozytywny, on się tak łatwo nie demaskuje. — A Józek Morawski jeszcze teraz szarpie ojca za rękaw i przekrzykując innych krzyczy ojcu do ucha:

— Teraz tata widzi, z kim trzymał?...

Po tym incydencie wytworzył się na sali jeszcze bardziej swobodny nastrój. Tak miejscowi, jak i przedstawiciele władz powiatowych znaleźli wspólny język i do późnego wieczora dyskutowali nie tylko nad lokalnymi trudnościami, ale również nad sprawami, które swym zasięgiem daleko wykraczają poza niedużą Miławkę.

*

Tego samego wieczoru, kiedy paru tysiącom obywateli w Miławce przywrócono zaufanie do władzy ludowej, Kantorski kończył przed bramą swojego domu dyskusję z Jankiem Gałężnym:

— Widzisz, tego nie można powiedzieć tak po prostu. To zawsze będzie brzmiało trochę pompatycznie. Doniosłe wydarzenia mają to do siebie, że nawet w niepozornych sytuacjach zachowują swoją wielkość, nie liczące się ani z czasem, ani z miejscem. To, co dziś przeżywamy, wymaga jednak od ludzi wyrzeczeń i zrozumienia sensu przeobrażeń, które z sobą niesie. Wymaga też szerokiej inicjatywy wszędzie, nawet tu, w naszej Miławce. Inicjatywy, polotu, śmiałych decyzji i tej wielkiej umiejętności ciągłego patrzenia w perspektywę czasu. I w tym tkwi sporo heroizmu i... uroku, czy nie?... No, rozgadałem się. Zapomniałem, że przecież my nie musimy się nawzajem przekonywać.

Przy kolacji Adam wysłuchiwał życzliwych i podyktowanych troskliwością napomnień matki, że przecież powinien na siebie uważać, że coraz gorzej wygląda. A poza tym mógł dziś na to zebranie nie iść i tak wszystko przygotował. Przecież wie, ile to ojca kosztuje.

— Mógłbyś raz ustąpić — dodała, już wyraźnie strofując syna.

Adam wiedział dobrze, że ojcu też nie odpowiada taka sytuacja, ale cóż, nie każdy ma dosyć siły, żeby w sześćdziesiątym roku życia powiedzieć sobie, iż inna jest prawda życia niż ta, z którą przeżyło się młodość i wiek dojrzały.

— Widzi mama — odezwał się po chwili — ojcu jest przykro, że nie wybierają takich jak on. To prawda, ojciec jest zdolniejszy od innych, posiada więcej inicjatywy i energii. Tylko pomyśl, jeśliby wybrano do rady ojca, czyje on będzie reprezentował interesy. No, pomyśl...

*

Stary Kantorski, który tego dnia kładł się spać spokojny, że Adam już wrócił — spojrzał swoim zwyczajem na zegarek i kręcił głową dziwiąc się tak późnej porze. Potem zasunął na dużym weneckim oknie firanki, zgasił światło i powiedział ni to do siebie, ni do żony:

— Kto wie, a może to on ma rację?...

Tadeusz Pajda

P. S. Być może, że ktoś z Czytelników zechce odnaleźć na mapie Polski — Miławkę, tę niedużą miejscowość, o której piszę w reportażu. Dlatego też — aby uniknąć nieporozumień — śpieszę z wyjaśnieniem: Miławki nie ma. To ja wyimaginowałem sobie to miasteczko, aby umiejscowić w nim autentyczne postaci i autentyczne zdarzenia, jakie rozegrały się w okresie ostatniej kampanii wyborczej w miejscowościach: Jastrzębicy — w województwie bydgoskim, Pradłach — w województwie stalinogrodzkim, Proszowicach pod Krakowem oraz w Międzylesiu — w woj. poznańskim. Dla niektórych nie bez znaczenia będzie zapewne fakt, że Międzylesie to rodzinna miejscowość pewnego bankruta politycznego w wielkim stylu. Niektórzy zapewne go jeszcze pamiętają: nazywał się Stanisław Mikołajczyk.

Wydaje mi się, że wolno reporterowi pójść na taką licencję, bo przecież czymże innym jest reportaż, jeśli nie wiernym odbiciem rzeczywistości pozbawionej dłużyzn...

T. P.

...od dziesięciu lat trudem milionów ludzi w Polsce, trudem nieprzespanych nocy i trudem niedojedzonych w pośpiechu obiadów, trudem szlachetnego współzawodnictwa, trudem serdecznej rezygnacji z zakupionego biletu do teatru, z projektowanej wycieczki nad morze — rosną Domy Kultury w Chełmie i w Sieradzu, rosną żłobki w Zielonej Górze i w Dobrym Mieście, rosną fabryki na Śląsku i w Warszawie, rosną miasteczka uniwersyteckie w Lublinie.

Od dziesięciu lat nienawiścią politykierów i bankierów, neofafaszystów i bankrutów, nienawiścią egoizmów ludzkich i narodowych karmione tuczy się widmo „odwetu", tuczy się widmo zagłady, tuczy się widmo nowej wojny, którego cień wysuwa swe macki aż nad pola ryżowe w Chinach, aż nad stepy Kazachstanu, aż nad serce Warszawy, aż nad orne woły hinduskiego chłopa, aż nad każdą kołyskę nowourodzonego obywatela świata.

A nam się czasem zdaje, że między słowem p o k ó j a słowem mój codzienny t r u d leży przestrzeń szeroka, że między powiedzeniem los świata a powiedzeniem moja codzienna decyzja — nie ma żadnego związku. A nam się czasem zdaje, że żyjemy społecznie i żyjemy prywatnie, a obie te sfery wcale się nie przecinają. Bywało tak, bywało w „dobrych" dziewiętnastowiecznych czasach mieszczańskiej sytości. Jest tak i dziś. I dziś bankier, który udzielił wysokiej pożyczki koncernowi produkcji broni, wciśnie żebraczce w dłoń dziesięć dolarów. I dziś mecenas, który przed wojną sądził komunistów, zasiada — wróciwszy z rozprawy o jakąś drobną kradzież — by posłuchać głosu bankiera (czytaj: „Wolnej Europy"). Agonia konserwatyzmu, agonia kapitalizmu przebiega wolno, jest długa, przewlekła i nużąca — ale ciało świata, tkanka tego ciała jest żywa, odrodziła się — jak wiemy — w październiku roku tysiąc dziewięćset siedemnastego. Dziś możemy mówić o odradzającym się organizmie świata, o rosnącej sile socjalizmu, o rosnącej sile komunizmu. Dziś każdy, kto jest z nami, każdy, kto gotów jest bić się, wie, że od tego, jak zrobi buty, jak napisze artykuł, jak znituje przęsła — zależy P o k ó j, zależy los świata.

I dziś oddając głosy na kandydatów do Rad Narodowych, spełniając obywatelski obowiązek, wiemy, że uzyskamy nie tylko to, iż świeżo położone nawierzchnie ulic warszawskich nie będą notorycznie zrywane, nie tylko to, że w barze mlecznym w Piasecznie będzie zawsze świeża śmietana, że chuligani przestaną się rozbijać po ulicach Bytomia — ale przede wszystkim uzyskamy potwierdzenie, uzyskamy pełną świadomość tego, że nasza codzienna decyzja rozstrzygać będzie nieustannie o losach naszego kraju. Że naszą codzienną decyzją, my, wszyscy, którzyśmy gotowi bić się, rozstrzygamy o słonecznych latach dzieciństwa, o mądrych latach młodości, o bogatych latach pracy wszystkich nowourodzonych obywateli świata...

KONSTANTY ILDEFONS

FRANCISZEK DOŃCZYK

KRIEGSGEFANGENE

WYDAJE się, że jest rzeczą niezbyt trudną napisanie wspomnienia o Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim, który tak nagle odszedł od nas przed rokiem, niezbyt trudną zwłaszcza, gdy piszący takie wspomnienia nosi miano pisarza lub krytyka literackiego i wydane w ciągu lat ostatnich utwory poety ma w świeżej pamięci. Łatwo tedy krytykowi analizować, co zmarły napisał dobrego, a co — szczególnie — jeszcze lepszego, jakim utworem czytelnika wzruszał, a jakim pobudzał do śmiechu lub irytacji. Natomiast dla człowieka, który nie zajmuje się zawodowo literaturą, traktując rzemiosło pisarskie jako rozrywkę — znacznie trudniejsze jest napisanie wspomnień o Gałczyńskim sprzed lat piętnastu czy dziesięciu, kiedy poeta nie tworzył lub tworzył bardzo mało, tj. z czasów, kiedy jako polski jeniec wojenny z kampanii wrześniowej przebywał w Stalagu XI A i zawód pisarza z życiowej konieczności zamienił na funkcję tłumacza języków obcych i sanitariusza jenieckiego szpitala. Jest trudniej o tym pisać, bo są to czasy już dość odległe, a życie nawarstwiło przecież tyle wydarzeń w okresie ubiegłego dziesięciolecia. Postaram się więc naszkicować te wspomnienia wyrywkami w pewnym chronologicznym porządku.

K. I. Gałczyński po klęsce kampanii wrześniowej, jak wiele tysięcy polskich żołnierzy, dostał się do niewoli niemieckiej, a następnie na jedną z komend pracy, bodaj w leśnictwie czy tartaku, choć już nie jestem pewien tego szczegółu. Sam będąc na funkcji *„Dolmetschera"* i prowadząc *„Zugangi"* i *„Abgangi"* jeńców karnej kompanii w biurze jenieckiego batalionu Stalagu XI A — montowałem z paru innymi kolegami sekretariat polskiego męża zaufania, na którego oficjalne utworzenie obozowa Abwehra wcześniej nie pozwoliła. Nie pozwoliła, ponieważ przez osławiony „Deutschlandsender" trąbiono na cały regulator, że wskutek wielkopańskiego gestu Hitlera wszyscy polscy jeńcy wojenni, prócz oficerów, dobrowolnie podpisali zobowiązania na robotników cywilnych w Rzeszy i że taka instytucja nie jest już w obozie potrzebna. Był to obłudny chwyt propagandowy dla zagranicy, a szczególnie dla M.C.K., aby ten nie zajął się opieką nad polskimi jeńcami wojennymi. W rzeczywistości było jednak inaczej. Słabsi ulegli groźbom — i nie tylko groźbom — policji i Arbeitsamtów i podpisali, silniejsi wolą nie dali się zastraszyć i godnie stawili czoło przeciwnościom losu, przebywając do końca wojny za drutami, o ile nie udawała się ucieczka. Do tych silniejszych wolą należał również K. I. Gałczyński.

Bo oto na komendach pracy zaczęły się mnożyć bunty jeńców, którzy bądź przez ucieczki, bądź przez stanowcze odmawianie złożenia podpisu, ba! nawet przez poturbowanie sfanatyzowanych wachmanów i policjantów — wyrażali sprzeciw wobec stosowanego przez hitlerowców bezprawia. Jeńców - przywódców za tego rodzaju „przestępstwa" wyłowiono, nie rzadko zbito, przywożono pod silną eskortą do Stalagu i lokowano w karnej kompanii obozu. Reszta na danej komendzie pracy — z małymi wyjątkami — dała się z reguły zastraszyć i podpisała „dobrowolnie" zwolnienie z niewoli.

Przy takiej to okazji zetknąłem się po raz pierwszy na obcej ziemi z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim, noszącym nr jeńca 5.700 — którego również za „podobne hece" na komendzie pracy wraz z kilkoma innymi jeńcami przywieziono do Stalagu. Było to lato, a może wczesna jesień 1941 roku. Zdziwiło mnie — czemu też dałem wyraz — że do księgi przychodów pod rubryką *„Beruf"*, poeta podał jako zawód „literat", bo inteligencja swoje faktyczne zawody przeważnie wtedy ze strachu taiła. Przybysz spojrzał na mnie uśmiechając się i rzekł: „Pisz pan, panie Hiszpan, jak podaję". U niektórych kolegów z powodu tego zapisu „literat" uchodził od owego dnia za niezrozumiałego bądź nie bojącego się dziwaka.

K. I. Gałczyński przy tym naszym pierwszym spotkaniu w biurze *„Zugangów"*, ponaglany przez gderliwego wachmana do zabierania swoich manatków, chciał się przede wszystkim upewnić „czy znajdzie w obozie jakąś pracę, żeby nie musiał się nudzić jak mops", a jeżeli nie, to „czy mógłby z naszej biblioteki otrzymać wszystkie wydania Emanuela Kanta"? Spojrzałem na pisarza z zakłopotaniem, bo przecież Kanta nie było w naszej bibliotece. Nie było go wówczas także w bibliotece francuskiej, natomiast miał go jeden z profesorów, bodaj Badaroux, z francuskiego batalionu. Użyczył egzemplarza chętnie, gdy wyjawiłem, że prosi o niego świeżo przybyły z komenderówki polski literat.

Poeta zapoznał się wnet z francuskimi i belgijskimi intelektualistami. Zapoznał się też z polskim grafikiem - malarzem i świetnym karykaturzystą Juliuszem Macewiczem. (Wtrącę tu nawiasem i gwoli ścisłości, że z J. Macewiczem latem r. 1940 dzieliłem przez trzy miesiące wspólną pryczę stalagowego karniaka Westlagru. Byłem w Stalagu XI A „prymusem" pod tym względem, gdyż jako pierwszego mnie w tym przybytku zamknięto na klucz po aresztowaniu przez gestapo na komendzie pracy pod Stendalem).

K. I. Gałczyński zawiązał też serdeczną nić z naszym bibliotekarzem, pianistą Juliuszem Szanieckim. Obydwaj dzięki znajomości języka francuskiego nieco później zaczęli wygłaszać w obozie wśród Francuzów i Belgów pogadanki o naszej kulturze narodowej, sławiąc imię Polski i Jej historię w zakonspirowanej sali francuskich pomieszczeń, mając zawsze pełny komplet słuchaczy. Dwukrotnie byłem obecny na takich pogadankach Gałczyńskiego u Francuzów i miałem możność przekonać się o ich popularności.

Po pewnym czasie — wskutek naszych starań — Gałczyński wydostał się z karniaka. W batalionie zwolniła się jedna z funkcji francusko - polskiego tłumacza i trzeba ją było obsadzić. Pełnił ją poprzednio Feliks Mikołajczak, jeniec z armii polskiej we Francji, który wyjechał do Paryża jako D.U. (tzn. *dienstunfähig*, czyli niezdolny do służby). Po nim tłumaczem został K. I. Gałczyński. Od tego czasu pracowaliśmy razem w skromnym polskim biurze. Stoły były trzy, a osób cztery, więc zmienialiśmy się kolejno, każdy siadał tam, gdzie było wolne miejsce. Zresztą funkcja tłumacza była lotna i tłumacz miał więcej do roboty pod gołym niebem, niż pod dachem baraku.

Tu też K. I. Gałczyński przygotowywał sobie notatki i dyspozycje do pogadanek u Francuzów i Belgów. Gałczyński rzadko kiedy pozował w obozie do zdjęcia i nikomu nie zdradzał przyczyny niechęci do fotografa. Tylko parę podobizn powstało z nim w tamtych latach.

Żeby nie odbiec od tematu miejsca pracy: częściowo w tym biurze, a częściowo na placu sportowym, tuż przy ogrodzeniu z drutu kolczastego, w zacisznym miejscu na murawie i zdala od lagrowego zgiełku Gałczyński pisał w chwilach mniejszego nasilenia pracy bądź po służbie, w grubym brulionie, dłuższy utwór prozą w języku angielskim i jeżeli mnie pamięć wzrokowa nie myli, nosił on tytuł *„Rose"* [1]). Choć mieliśmy do dyspozycji maszynę do pisania, Gałczyński nigdy z niej nie korzystał. Pamięć jednak zawodzi, czy była to nowela, czy też sztuka teatralna. Tematu tego utworu też już nie pamiętam.

Jak doszło wówczas do napisania tego utworu? Otóż jedno z towarzystw oświatowych w Genewie, zdaje się, że YMCA, w tym czasie rozpisało konkurs literacki dla jeńców wszystkich narodowości, przebywających w niemieckiej niewoli. Gałczyński postanowił w tym konkursie wziąć udział, z czego mi się zwierzył. Gdy utwór po długim czasie był gotowy, napisałem na jego prośbę pismo towarzyszące, podpisane przez męża zaufania. Było to w roku 1942 lub 1943 (z tego pisma właśnie kojarzy mi się ów tytuł „Rose"). Rękopis sam odniosłem do cenzury obozowej, gdzie za jakąś rzecz koperta z zawartością została ostemplowana numerem pieczątki *„geprüft"* nieistniejącego cenzora i tak poszła w świat. Po pewnym czasie odbiór potwierdzono. Pismo to mąż zaufania wręczył autorowi, czym ten się bardzo ucieszył. Jeżeli nie zaginęło w zawierusze wojennej — powinno się znajdować w spuściźnie poety. Wynik tego konkursu nie był mi znany. Raz czy nawet dwa Gałczyński sam pisał w okresie późniejszym w tej sprawie do Genewy. Nasze oficjalne pismo pozostało też bez odpowiedzi. Możliwe, że odpowiedź skonfiskowała Abwehra, jak to było w zwyczaju z wielu polskimi listami.

W tym czasie byłem jedynym z ośmiu zgłoszonych na kurs uczniów, który przetrwał jako tako naukę władania smyczkiem. Kiedy w porze obiadowej lub wieczorami w biurze grywaliśmy z kol. Pokiem — nauczycielem z zawodu, a muzykiem z zamiłowania — na moją miarę łatwiejsze utwory z podręcznika Hohmanna i Paschalskiego lub z nut francuskich, albo też polskie kolędy — K. I. Gałczyński z pożyczoną od Francuzów trzecią parą skrzypiec wpadał do biura i bez długich ceregieli dołączał do nas, zamaszyście i precyzyjnie wydobywając smyczkiem trzeci głos. Było przy tym często śmiechu huk, bo przecież stawiałem dopiero drugie kroki. Każdy przeze mnie popełniony przy tym fałsz znalazł ze strony K. I. Gałczyńskiego ostrzejsze napiętnowanie niż samego nauczyciela. Najmilej wspominam właśnie te wspólnie z Gałczyńskim i i Ryszardem Pokiem spędzone w Stalagu chwile, co nie znaczy, że pobyt w niemieckiej niewoli wspominam chętnie. Gałczyński był bardzo koleżeński i bezpośredni w obcowaniu z kolegami, a miał ich bardzo wielu. Był zrównoważony i na ogół poważny, ale też potrafił śmiać się serdecznie, gdy była ku temu przyczyna.

Ot, pewne wydarzenie: z chwilą, gdy poprzednik K. I. Gałczyńskiego, Feliks Mikołajczak i inni przedarli się z Paryża do nieokupowanego Lyonu — opowiedzieli w Polskim Komitecie Niesienia Pomocy Jeńcom o niedostatkach panujących wśród jeńców. Pomoc żywnościowa, jaką otrzymywaliśmy w tym czasie z M.C.K., była raczej symboliczna, czego przyczyną prawdopodobnie była goebbelsowska propaganda. Zaczęły tedy z Lyonu nadchodzić coraz częściej imienne paczki żywnościowe, co zwróciło uwagę Abwehry. Abwehra powiedziała sobie: „My musimy Francję *„mitversorgen"*, a ta Polakom przysyła paczki? nie ma tak dobrze!" I wpadła na perfidny pomysł: włożyła na poczcie Stalagu do jednej z polskich paczek imiennych dwie grube książki pt. *„Fahndungsbuch"* ze spisem Polaków i Żydów, poszukiwanych przez gestapo. Odbiorca tej paczki, jeden z jeńców polskiej kompanii, przybiegł z tą wieścią zdyszany do naszego biura. Nasza wspólna decyzja była szybka: im mniej tych książek w obiegu, tym lepiej dla zainteresowanych — powiedzieliśmy sobie. Wspólnie z Gałczyńskim podarliśmy książki na strzępy i migiem spaliliśmy je w żelaznym piecu łącznie z opakowaniem tej paczki. To był jeden z pomysłów, zrodzonych przez nakaz chwili. Było to zresztą konieczne, gdyż od jednego z przychylnych nam Niemców dowiedziałem się w tejże godzinie, że w polskiej kompanii ma być niebawem rewizja.

Abwehra przyszła, groźna jak zawsze i przewróciła wszystko do góry nogami. Znalezione książki miały być podstawą do wydania zakazu nadsyłania paczek z Lyonu. Feldwebel Heinss z Abwehry był tak pewien znalezienia tych książek, że nawet nie zanotował sobie numeru ani nazwiska jeńca tej paczki, czym zdradził się w rozmowie z Feldweblem Pörschke, przetrzebiając polskie kwatery. Szał ogarniał oprawców, że nikt do odebrania feralnej paczki się nie przyznał, co było jeniecką zasadą. Rewizja spełzła więc na niczym. Kiedy wróciliśmy do biura, Gałczyński śmiał się razem z nami wszystkimi do rozpuku, serdecznie i długo, ze zrobionego Abwehrze kawału.

Innym razem przy obchodzie biurowego baraku wszedł do naszego biura Hauptmann Wendel i dwóch innych oficerów z Abwehry. W biurze znajdowaliśmy się w komplecie. Na stole Gałczyńskiego leżał rozłożony duży plan 130 Stalagów i Oflagów, z którego wynotowaliśmy sobie przed ich przyjściem skrzętnie wszystkie miejscowości obozów. Czy nas wtedy interesowało, gdzie rozlokowane były obozy, gdzie znajdowali się koledzy? A jak jeszcze! Plan ten zwykle leżał w biurku dowódcy batalionu Hauptmanna Steinhoffa i miał do niego dostęp jedynie niemiecki personel. W tym dniu zostało przeniesionych do innego Stalagu kilku Francuzów, a więc ludzie z zasięgu pracy Gałczyńskiego, których konwojować miał m. in. wachman z naszego batalionu. Owego wachmana najbardziej interesowało, kędy pojedzie i ile tym samym dni będzie w drodze. Nie mógł on jednak znaleźć obozu na planie, wobec czego K. I. Gałczyński, przebywający w tej chwili w niemieckiej kancelarii, zaofiarował się mu dopomóc. Tym sposobem poeta wziął plan pod pachę i przyniósł go do naszego biura. Wachmana gdzieś odwołano i o planie zapomniał. Tymczasem kilka arkuszy odpisów nazw miejscowości z planu spoczywało wpuszczonych chwilowo za wiszącym na ścianie kalendarzem.

Przerażenie nasze było więc nie lada, ale jeszcze większe było zdumienie niemieckich oficerów. Wendel bezosobowo rzucił pytanie, co do *„Donnerwettru"* ten plan tu robi? W tej chwili odezwał się Gałczyński, że przed chwilą przyniósł plan z niemieckiej kancelarii i na prośbę jednego z francuskich jeńców chciał zobaczyć, gdzie się znajduje nowy Stalag odjeżdżającego, by mu to powiedzieć. Wendel otworzył drzwi i ryknął, aby przyszedł ktoś z niemieckiego personelu. Przyleciał kancelista Gadau. Wendel chciał przede wszystkim wiedzieć, od kiedy plan obozów znajduje się w polskim biurze. Wylękniony podoficer, zorientowawszy się w sytuacji, odparł, że najwyżej parę minut. Siłą rzeczy nie mógł odpowiedzieć inaczej, bo chodziło o jego skórę. Nie wiedział, oczywiście, że za kalendarzem znajdowały się odpisy nazw miejscowości z planu. Na zapytanie Hauptmanna potwierdził, że do innego Stalagu wyjeżdżają Francuzi. Hauptmann Wendel zabrał plan, kazał oficerom skontrolować nasze akta i nas zrewidować. Niczego obciążającego nie znaleziono, a kalendarz ze schowkiem, odpowiednio przytwierdzony do ściany, milczał. Gadau dostał później ostrą naganę. A my? Można powiedzieć, że wyszliśmy cało z tej opresji, choć pewnego gatunku, przyznam się, dreszczyk zgrozy przeszył nasze ciała. Jak to już tylokrotnie bywało w najróżniejszych obozowych opresjach — również i tym razem Opatrzność miała nas wszystkich w swojej opiece. Spisy obozów przetrwały wojnę u niemieckiego robotnika placowego Heinricha Nickela. Taki był K. I. Gałczyński w obozie. Zachowanie się jego w takich wypadkach graniczyło zawsze z nadzwyczajną śmiałością. Wydarzeń podobnych można by przytoczyć mnóstwo z życia obozowego K. I. Gałczyńskiego.

Żeby wspomnień nie rozciągać — przeniosę się teraz myślą do odległego od Stalagu o kilometr szpitala „A", do którego Gałczyński przeniósł się na funkcję tłumacza i sanitariusza w roku 1943. Odtąd utrzymywałem z nim przeważnie kontakt przy pomocy grypsów, bądź też, gdy zjawiał się czasem w bibliotece francuskiej po książki.

Nasze wspólne dawne spotkania w „atelier" u Juliusza Macewicza skończyły się również, bo i ten wyjechał na komendę pracy polskiej inteligencji Nr 1416-2 w Hasserode, w Górach Harcu. Odtąd stałem się i nadawcą, i pośrednikiem w przesyłaniu do obydwu grypsów. Wiele tych grypsów mi zaginęło, lecz kilka od Gałczyńskiego i Macewicza zostało mi z roku 1944. Macewicz wystąpił mianowicie z inicjatywą sporządzenia zbioru utworów literackich i muzycznych oraz kolekcji karykatur jako prac polskich jeńców Stalagu XI A z przeznaczeniem dla *Aide Suisse aux Prisonniers de Guerre Polonais* w Bernie, który to komitet, skąd zresztą otrzymywaliśmy paczki, miał ten zbiór wydać drukiem. Czysty zysk miał być przeznaczony na polepszenie bytu głodujących kobiet w kraju pod hasłem „Kobiecie z pomocą". Takie było ogólne założenie projektodawcy. Oto zachowany grypsy Gałczyńskiego w tej sprawie:

„Altengr. 3.V. 1792

Szanowny Panie Franiu,

Bardzo dziękuję za list z dn. 2.V.44. Jasne jest, że z przyjemnością coś prześlę Panu, jak tylko będę czymś odpowiednim dysponował, a również postaram się tą sprawą innych zainteresować.

Kopię listu do Delegata jednocześnie stos. do życzenia zwracam, przepraszając za świstek, na którym piszę, co jest li tylko wynikiem przerażającego ubóstwa papieru.

Pański K. I. Gałczyński" [2]

A oto inne pismo poety w tej samej sprawie:

„Szpital A" Altengr. 19.V.44.

Szanowny Panie Franiu,

Bardzo przepraszam za opóźnienie w odpowiedzi.

Bardzo ucieszyły mnie słowa uznania Macewicza pod moim skromnym adresem. Ale jeszcze bardziej raduje mnie pismo Demona - Macewicza do Pana. Toć to prawdziwy dokument odrodzenia duchowego poprzez adorację kobiety! I cel imprezy jak ulał. Wielka przenikliwość. Po wojnie niewątpliwie wzrośnie kult i znaczenie kobiety. Toteż dołożę starań, ażeby, za pośrednictwem Jankowskiego, a na ręce Pańskie, przesłać materiał dla redaktora naczelnego Demona w końcu maja.

Łączę wyrazy poważania

K. I. Gałczyński

P.S. Pismo p. Jula stosownie do życzenia w załączeniu.

K. I. G. [3]

Z listu tego wynika, że Gałczyński zapalił się do tej akcji i przyobiecał swój cenny współudział. Zresztą omawialiśmy tę sprawę, gdy poeta zjawiał się w bibliotece. Sam do wspomnianego wyżej zbiorku pragnąłem też dołożyć coś od siebie. Napisałem więc wiersz i przekazałem go Gałczyńskiemu do oceny. Poeta odpisał następująco:

„Szpital „A" 23.V. 44.

Szanowny Panie Franiu,

Stawia mnie Pan w trudnej sytuacji, żądając ode mnie koleżeńskiej oceny Pańskiego utworu: Tyloletnia przerwa w pracy zawodowej uprawniałaby mnie, sądzę, do twierdzenia, że moje kryteria literackie zardzewiały i mchem porosły. Wszelako — i to proszę niech wystarczy za moją skromną ocenę — twierdzę, że nie zawahałbym się, po dokona-

Konstanty Ildefons Gałczyński przy choince — Stalag XI-A, Boże Narodzenie 1942 r.

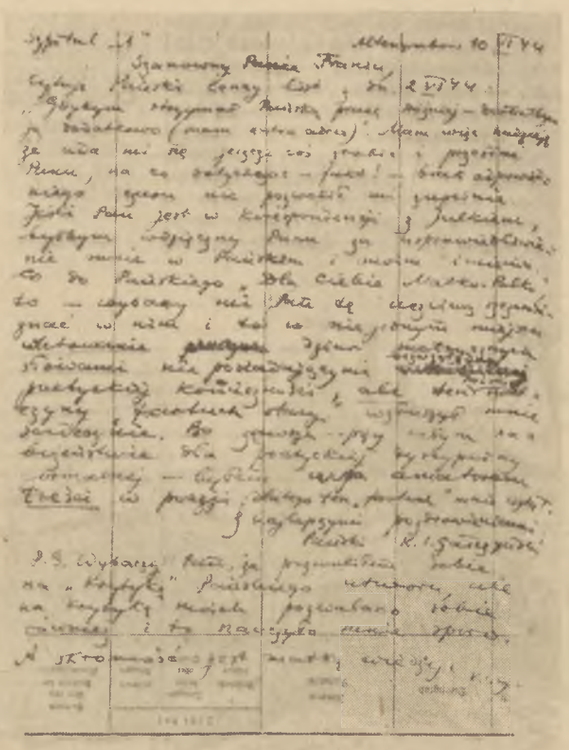

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Mała fuga wiosenna

pamięci K.I.G.

Niebo ziemi spojrzenie odbierze
niski płacz zielonych warkoczy
topole w deszcz nikły uwierzą
który nagle muzykę począł.
Na jednej strunie koncert
strumień
kapryśnie ucieka w słońce
złoty zakręt
pagórek pokorny
który widnokrąg zakrył
wycinkiem cienia
dźwiga kościół
kapłan ma srebrny ornat
dokonuje w imię miłości
podniesienia ziemi
ptaki i dzwonki
błogosławią
cztery kropki biedronki
w trawie
amen

G A Ł C Z Y Ń S K I

NR 5.700

niu w porozumieniu z Autorem drobnych korektur natury wersyfikacyjnej, zamieścić Pańską „Tęsknotę jeńca wojennego" w jakiejś antologii poezji żołniersko-jenieckiej, jako utwór zalecający się serdeczną szczerością poetyckiego wyrazu.

Tyle co do meritum literackiego.

Co do meritum prawnego, rzecz jasna, że podzielam zdanie kolegów, że użycie formuły „Imieniem kolegów Stalagu XI A" jest uzurpacją.

Co do natomiast niewątpliwie trywialnego sklasyfikowania prawno - literackiego sprawy Pańskiej przez jednego z kolegów, to — mój Boże! — jeśli Bóg da, że po wojnie będę miał kiedykolwiek miłą okazję gościć Pana u siebie, i jeśli mój aniński stół np. nie spłonął wraz ze szpargałami, pokażę Panu szereg wycinków z gazet, które obdarzały mnie stokroć bardziej gwałtownymi podarunkami — co bynajmniej nie mąciło mi mojej porannej kawy.

Twórczość literacka jest rodzajem boksu ze społeczeństwem i to społeczeństwo, jeśli jest żywe, ma prawo do reagowania. W takim boksie odradza się i dojrzewa moralnie autor.

Serdecznie dłoń ściskam:

Pański K. I. Gałczyński"

A oto inny gryps K. I. Gałczyńskiego z datą 3.VI.44 r.:

„Szpital „A" 3.VI.44

Szanowny Panie Franiu,

Przeczytałem Pański wzruszający list do niem. C.K. Byłoby to naprawdę piękne gdyby rodziny nasze mogły otrzymywać pomoc z Portugalii. Jedyny wolniejszy czas tj. sobotnie popołudnie i jutrzejszą niedzielę wykorzystam na wczytanie się w Pański uprzejmie mi nadesłany maszynopis „Dla Ciebie Matko - Polko!", za który serdecznie dziękuję — oraz za przygotowanie rzeczy dla Julka.

Pański K. I. Gałczyński" [4]

P.S. Maszynopis do C.K. w zał.

Macewicz więc czekał i ja czekałem na Gałczyńskiego, żeby coś napisał do zbiorku. Jakoś z tym zwlekał, tłumacząc się brakiem czasu. Przytoczę jeszcze jeden z zachowanych listów poety do mnie:

„Szpital „A" Altengr. 10. VI. 44

Szanowny Panie Franiu,

Cytuję Pański cenny list z dn. 2.VI.44: „Gdybym otrzymał Pańską pracę później — dostałbym ją dodatkowo (mam extra adres)". Mam więc nadzieję, że uda mi się jeszcze coś zrobić i przesłać Panu, na co dotychczas — fakt! — brak odpowiedniego czasu nie pozwolił mi zupełnie. Jeśli Pan jest w korespondencji z Julkiem, byłbym wdzięczny Panu za usprawiedliwienie mnie w Pańskim i moim imieniu.

Co do Pańskiego „Dla Ciebie Matko - Polko", to — wybaczy mi Pan tę uczciwą szczerość — znać w nim i to w niejednym miejscu watowanie dziur metrycznych słowami nie posiadającymi bezwzględnej poetyckiej konieczności, ale ten Pański matczyny „fartuch stary" wzruszył mnie serdecznie. Bo zawsze — przy całym nabożeństwie dla poetyckiej dyscypliny formalnej — byłem amatorem treści w poezji; dlatego ten „fartuch" mnie wziął.

Z najlepszymi pozdrowieniami:

Pański K. I. Gałczyński

P.S. Wybaczy Pan, że pozwoliłem sobie na „krytykę" Pańskiego utworu, ale na krytykę moich pozwalano sobie również i to nauczyło mnie sporo. A skromność jest matką wiedzy!

K. I. G."

Nie doczekawszy się żadnej pracy od Gałczyńskiego — wysłałem zbiorek utworów jeńców polskich komendy pracy Nr 1416-2 — składający się z 63 kart oraz świetnych karykatur obozowych J. Macewicza — 31 lipca 1944 do Berna i wszelki słuch po nim zaginął. Prawdopodobnie lądował w Abwehrze. Górą był tym razem K. I. Gałczyński, bo nie trudził się niepotrzebnie. W tym okresie napisał swój słynny wiersz pt. „Matka Boska Stalagów", ale wiersza tego w obozie nikt nie oglądał.

Później wybuchło powstanie warszawskie. To niezwykłe w dziejach narodu polskiego wydarzenie przeżywał K. I. Gałczyński przygnębiony, czemu dawał wyraz w licznych grypsach. Niestety, grypsy te musiałem spalić przed pewną rewizją Abwehry, aby nie narazić ich autora, bowiem bez pełnego podpisu nie pisał Gałczyński do mnie ani jednego listu. Tak samo moje listy do poety były zatytułowane zawsze per „Szanowny Panie Kostku". Tylko na jednym z grypsów i to zapewne przez zapomnienie, napisał poeta raz pełne moje nazwisko, z charakterystyczną formułką nadawcy „Fxp. K. I. Gałczyński", używając jej po wojnie w „Listach z fiołkiem" jako „Karakuliambro". Narażać innych na wsypy? Nie, do tego K. I. Gałczyński nie był zdolny.

W ostatnim z zachowanych grypsów poeta pisał:

Altengrabow 31. VIII. 44.

Szanowny Panie Franiu,

Bardzo dziękuję za list. Doprawdy nie wiem w tej chwili, czy coś zrobię, bo mam głowę nie do tych rzeczy obecnie. Sam Pan rozumie. Ale jeszcze raz dziękuję za miły list i całkowicie nie zarzekam się.

Pański K. I. Gałczyński [5]

W październiku 1944 roku przybyły do Stalagu transporty rannych i chorych warszawiaków (ponad dwa i pół tysiąca) i z nadmiarem pracy przez całą jesień i zimę było po prostu urwanie głowy zarówno u nas, jak i w Szpitalu „A" — i w ostatnim roku niewoli, w r. 1945, mój kontakt z Gałczyńskim zupełnie się urwał. Wiosną tegoż roku, jeżeli mnie pamięć nie myli, przyszła do obozu ze Szpitala „A" wiadomość jakoby K. I. Gałczyński z powodu jakiejś „draki" z feldweblem sanitarnym, o polskim nazwisku, Całowskim, został wysłany karnie na komendę pracy, znajdującą się za Łabą.

Czy tylko przypadek rządził człowiekiem? Dzięki właśnie tej okoliczności Gałczyński znalazł się po wojnie w Polskim Klubie Artystycznym w Brukseli. Tu, jak dowiedzieliśmy się z prasy, spotykał się na odczytach i wieczorach autorskich m. in. z Morcinkiem, Dygatem i w ogóle z całą Polonią belgijską, bądź stale zasiedziałą, bądź zdążającą do gościnnej Belgii z wszystkich obozów w Niemczech zachodnich, by nacieszyć się tak długo wyczekiwaną wolnością.

Spotkałem się z Gałczyńskim ponownie dopiero po jego powrocie do kraju z wędrówek po Zachodzie. Było to na jego wieczorze autorskim, pierwszym w kraju, w Teatrze Kameralnym w Sopocie, gdzie osiadłem po powrocie ze Stalagu.

Gałczyński recytował właśnie z książki jakiś wiersz, gdy wtem spostrzegł mnie siedzącego w pierwszym rzędzie krzeseł. Przerwał na moment czytanie, ku zdumieniu — oczywiście, szczelnie nabitej — sali bezceremonialnie wzniósł wysoko na powitanie dłoń i serdecznie uśmiechnięty potrząsnął nią nad głową w moim kierunku. Ten gest wzruszył mnie, tak samo jak jego wzruszył ongiś mój „fartuch", gest ten bowiem wyrażał wszystko, cośmy wspólnie w dobrych i złych chwilach przeżywali na obcej ziemi.

Franciszek Dończyk

---

1. Żona Poety, p. Natalia Gałczyńska, która zechciała zapoznać się z rękopisem drukowanego tu wspomnienia, zakwestionowała autentyczność tytułu wymienionej jednoaktówki: brzmiał on prawdopodobnie „Lena" lub „Lina", co trudno ustalić wobec zaginięcia tekstu.

2. List pisany atramentem, jednostronnie, na kratkowanej kartce, o wymiarach 15,5x12 cm. Odwrotna strona, wypełniona jakimiś zapiskami ewidencyjnymi, świadczy, że kartkę wyrwano z formularza niejasnego pochodzenia.

3. List pisany atramentem dwustronnie. Kartka czysta, wymiary 20,5x21 cm. Nadruk „Krankheitsgeschichte" znowu zdradza „urzędowe" pochodzenie arkusza.

4. List pisany atramentem, jednostronnie. Kartka czysta, wymiary 25,5x 14 cm. Format ten powstał wskutek złączenia dwóch ćwiartek podklejonych wąskim paskiem białego papieru. I tym razem nadruk „Krankheitsgeschichte". Na odwrocie blankiet zadrukowany.

5. List pisany atramentem. Kartka czysta, wymiary 22,5x14 cm. Na odwrocie tekstu — pismem Poety: „JWP Franciszek DOŃCZYK p. 6". A obok „exp. K. I Gałczyński".

Red.

Zmartwychwstaje zapachem kwiat
grudę ziemi odwalił Anioł
bystronogą wielkooką łanią
umknęło siedem polskich lat

Szkockie kobzy
wydęły kraciaste policzki
niedobrze
chociaż zapach koniczyn
i topolowa aleja
starszy o powrotu nadzieję
liczę
używając symboli i znaków
ilość kroków, które w wyniku niewiadomych przyczyn
dzielą mój przyszły dom od statku.

Barwy, które patrzą najmocniej
imię ziemi łaskawie zielonej
przyjąłem w klęczące oczy
w świetle słońca drobniutkim i stromym.

Smyczek wspina się na palce
zanim spadnie
złamany w synkopie
za posąg w lipowym tramie
za choinkę dla biednych malców
za Niobe

Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich

Ziemia i niebo przemijają,
chwieją się fundamenty światów,
ostatni slogan snuje pająk:
VANITAS VANITATUM —

i od balkonu do balkonu,
w wąskiej uliczce, w głębi, na dnie,
pod grozą złego nieboskłonu
pająk i slogan są ostatnie.

Ach, ukryć się tu w ciemnej sieni
z dala od rynku, gdzie tak nudno,
kędy przechodnie przerażeni
pytają się, co będzie jutro;

z trwogą spogląda w niebo karzeł,
co nuty sprzedaje nad rzeką.
I w tłumach ciągle te dwie twarze:
oszusta i potępionego.

II

Po niebie płynie moje serce
i rozpryskuje się na dachach,
ostatni slogan snuje pająk,
amorki na portalach grają
utwory z ORGELBÜCHLEIN Bacha:

amorkom żal polskiego serca,
uliczka nad Sekwaną skręca,
skręci za parę chwil —

serce na niebie, księżyc — tutaj,
pomyłka, fikcja, złudna nuta:
RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ILE.

III

Ach, co za noc! Co za bezdroża
wśród chmur, a miasta ciężar chmurny
jak na dnie zielonego morza
odnalezione partytury.

Na noszach mnie uliczką niosą,
bełkocę: — Księżyc! Tam! Znad domu!
— — — — — — — — — — — — —
Jesienin kiedyś taką nocą
zawołał, zawył: — Mamo, pomóż!

IV

Niebo i ziemia przemijają,
chwieją się fundamenty światów,
ostatni slogan snuje pająk:
VANITAS VANITATUM.

Nasz każdy wiersz zaorzą pługiem,
będą kartofle, potem wódka,
bo nasze życie — za długie,
a sztuka — za krótka.

Co pozostanie? Noc,
mitologia niedorzeczna,
sowiooka noc, zielonooka noc,
Noc jest wieczna.

(Z gitarą w ręku. Za uszami z kwiatem.
W świetle księżyca.
Chciałbym być choćby najmniejszym szmaragdem
w jej zausznicach).

V

Paryż. I noc. I Notre-Dame.
I wiatr. Na pustym placu sam
odprawiam modły do Madonny.

Trzy gwiazdki nad wieżami brzęczą
i drżą. Modlitwa kręci mną
jak wiatr natchniony, wir szalony.

VI

Tak modliłem się:
żeby — w razie ostatecznej katastrofy — Matka Boska przemieniła mnie w małą płaskorzeźbę z XII wieku, która przedstawia „Daniela w jaskini lwów";

żebym w każdej chwili umiał się rozstać z pewnym abażurem, na którym jest wyobrażona bezsensowna ryba;

żebym natychmiast ofiarował moją kanapę, moją pozłacaną kanapę, właścicielce bankrutującego baru, która skarżyła mi się, że po prostu nie ma na czym siedzieć;

żeby mój ponury kolega zrozumiał, że „średniowieczny" to znaczy wesoły, a czterej Ewangeliści (Anioł, Wół, Lew i Orzeł) to wesołe chłopy, jak pielgrzymi kanterburyjscy, jak czterech kumów na chrzcinach;

żeby urzędnicy z firmy „Trwoga & Żołądek", zamiast opowiadać głupie kawały, lepiej śpiewali podczas przerwy psalmy;

żebym — jeśli za oknem moim którejś nocy mocniej zagra galilejska fletnia — umiał natychmiast odejść i porzucić majątek, żonę i dziecko;

żebym — oczywiście stosownie do wymiarów mego serca — również zasłużył na swoją noc mediolańską, podobnie jak św. Augustyn;

żebym unikał jak ognia: alkoholu, głupich kobiet i lenistwa;

żebym tam, gdzie dyplomacja prowadzi do hańby, umiał przyjąć walkę albo męczeństwo.

*

„Ziemia i niebo przemijają,
lecz słowo Moje nie przeminie";
kto to powiedział? kto powiedział?
Zapomniałem.

Zapomnieć snadniej. Przebacz, Panie:
za duży wiatr na moją wełnę;
ach, odsuń swoją straszną pełnię,
powstrzymaj flukty w oceanie;

toć widzisz:jestem słaby, chory,
jeden z Sodomy i Gomory;

toć widzisz: trędowaty, chromy,
jeden z Gomory i Sodomy,
pełna „problemów", niepokoju,
z zegarkiem wielka kupa gnoju.

Nie mogę. Zrozum. Jestem mały
urzędnik w wielkim biurze świata,
a Ty byś chciał, żebym latał
i wiarą mą przenosił skały.

Nie mogę. Popatrz: to me dzieci,
śliczna kanapa i dywanik,
i lampa z abażurem świeci,
i gwiazdka malowana na nim,
gwiazdka normalna, świeci ziemsko —
a Ty byś zaraz — betlejemską!

Posadę przecież mam w tej firmie
kłamstwa, żelaza i papieru.
Kiedy ją stracę, kto mnie przyjmie?
Kto mi da jeść? Serafin? Cherub?
A tu do wyższych pnę się grządek
w mej firmie „Trwoga & Żołądek".

Lecz wiem, że jednak on się stanie,
ten wielki wichr: na noc szatańską
odpowie nocą mediolańską
święty Augustyn w Mediolanie!

A kiedy minie Twoja burza,
czy przyjmiesz do Twych rajów tchórza?

O nocy słodka, nocy letnia...
Za oknem galilejska fletnia.

VII

Świt. Sekwana ziewa. Trzy
koty miauczą. Deszczyk mży
i w śmiesznych rynnach woda płacze.

Gdy wróci noc, znów pójdę sam
na pusty plac przed Notre-Dame
i cień mój pomknie za mną tam
z wielką walizką rozpaczy.

Pisane w Paryżu, w czerwcu 1946 (z tomu „Zaczarowana dorożka") Sp. Wyd. Czytelnik, 1948

Z „Pieśni"

(Fragmenty)

VI

Nie jesteśmy, by spożywać
urok świata, ale po to,
by go tworzyć i przetaczać
przez czasy jak skałę złotą.

Choćby i po razy tysiąc
osaczyły nas trudności,
my idziemy blaskiem bijąc
w urodę maszyn i roślin.

W poczekalniach kin srebrzystych,
gdy zadymka śnieżna bredzi,
nieraz siadamy strudzeni,
strudzonych ludzi sąsiedzi.

Dni i noce z nami biegną,
a my z nimi ku przodowi,
w trudzie tworząc piękno, piękno,
które znów służy trudowi.

Z chmury zwisa śnieg z ukosa,
twarz twoją w srebro przemienia.
Chciałbym śnieg na twoich włosach
ocalić od zapomnienia.

X

Wybaczcie mi, ludzie, jeśli
w tych pieśniach dałem tak mało,
że nie takie niosę pieśni,
jakie by nieść należało;

że tyle tu tych piękności,
ptaków, różnych pobrzękadeł,
złocistości, srebrzystości,
księżyców, Bachów i świateł.

Cóż, kocham światło. Promieniem
jak umiem, wiersze obdzielam.
O, gdybym mógł, to bym zmienił
cały świat w jeden kandelabr.

Myślę, że po to są wiersze,
ich ruch ku sercu człowieka,
by szerzej szła, coraz szerzej
przez kontynenty jutrzenka,

światłami po wszystkich placach,
światłami w każdej ulicy,
ta Eos różanopalca
z dumną twarzą robotnicy.

Jesteśmy w pół drogi. Droga
pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na drogach
ocalić od zapomnienia.

1953

Plastyka śląska

Ludmiła Mozdzanowska — Pejzaż śląski

S. Wojtowicz — Próba zespołu instrumentalnego górników

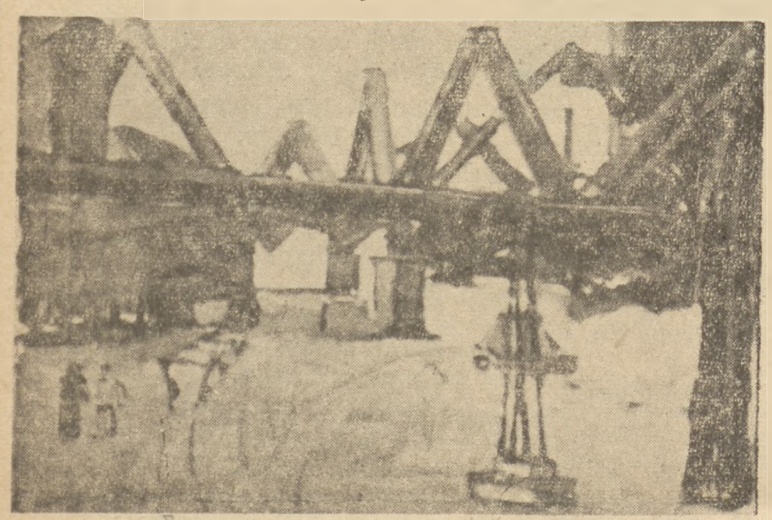

Witold Ciechanowicz — Z huty „Kościuszko"

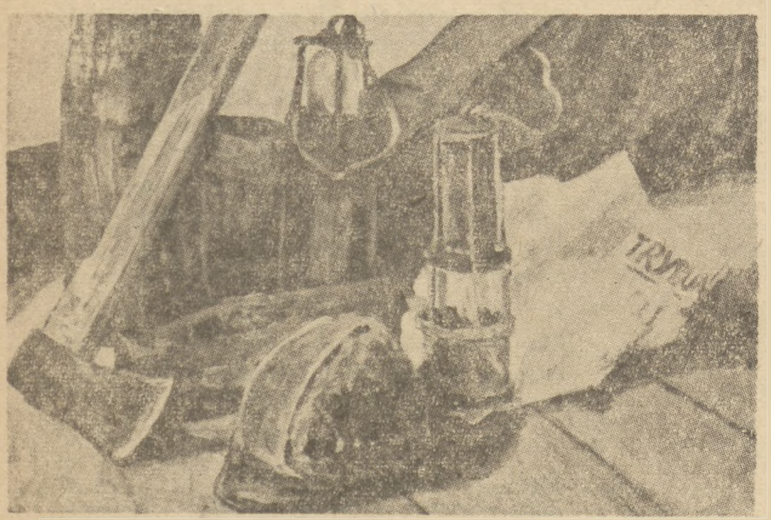

Józef Klimek — Martwa natura górnicza

Zenon Moskwa — Kopalnia

Krystyna Bojańska — Z cyklu „Śląsk".

JERZY STADNICKI

NIEWĄTPLIWIE — TAK!

CZY być, czy nie być — nigdy to pytanie nie rysuje się z taką ostrością, jak w biurach instytutów wydawniczych: autor przynosi rękopis, wydawca musi zadecydować o ukazaniu się książki, autor przychodzi ze swoją myślą, sercem, niekiedy interesem, zawsze pracą, wydawca obowiązany jest wiedzieć, czy ta myśl funkcjonuje prawidłowo, czy interes pisarza pokrywa się z interesem społecznym, czy serce bije rytmem powszechnym, czy praca nie poszła na marne.

W momencie decyzji nad bytem lub niebytem książki uczciwy wydawca stosuje najczęściej kryterium adresu, zastanawia się, k t o jest adresatem książki, dla k o g o ją napisano, czy ten ktoś będzie ją czytał, a gdy przeczyta — co w niej znajdzie. Także dla krytyki sprawa adresu książki bywa przeważnie punktem wyjściowym.

Otóż, gdy po przeczytaniu książki Marii Zientara-Malewskiej i Wandy Pieńkowskiej „Rośnie do słońca"[1]) zastanawiamy się, kto jest właściwie jej adresatem, dla kogo została ona napisana — nie łatwo znajdujemy odpowiedź. Bo: albo dla Warmiaków, albo dla nie-Warmiaków. Albo książka posiada charakter ekskluzywny, zacieśniony do odbiorcy regionalnego, z którym porozumiewa się językiem wspólnych, dla niewtajemniczonego mało zrozumiałych spraw, albo na odwrót, mówi o Warmii ludziom, którzy tej krainy nie znają, mówi rzeczy oczywiste dla kogoś „stamtąd", a mniej lub więcej egzotyczne dla reszty, dla nas, którzy Warmię znamy mało lub wcale. W pierwszym wypadku czytelnik miejscowy będzie się domagał od książki pewnej organizacji, uporządkowania, nowego naświetlenia spraw skądinąd mu znanych, w drugim — ta ogromna „reszta" nie-Warmiaków będzie oczekiwać od niej możliwie wszechstronnej a zarazem popularnej relacji.

Tymczasem już pierwsza lektura tej książki utwierdza nas w przekonaniu, że autorki nie kierowały się żadną z powyższych koncepcji. Przede wszystkim sprawia nam trudność określenie jej rodzaju literackiego: dlatego wciąż używam słowa „książka". Na pozór jest ona zbiorem reportaży, i, objętościowo rzecz biorąc, reportaże stanowią co najmniej jej połowę, tę mianowicie, którą napisała Wanda Pieńkowska. Natomiast karty pisane przez Marię Zientara-Malewską można by niedokładnie określić jako historyczno-geograficzną kronikę powiatu olsztyńskiego.

Jedno wrażenie nasuwa się czytelnikowi z nieodpartą sugestią: wrażenie autentyzmu. Nie tylko dlatego, że Zientara-Malewska na każdej niemal stronicy używa takich zwrotów, jak: „...według opowiadań mojego dziadka, który urodził się w r. 1826...", albo „...za mojego dzieciństwa wszystkie prawie chaty w Brąswałdzie pobudowane były z drzewa...", nie tylko dlatego, że zna teren „jak nikt", cytuje stare legendy, obyczaje i powiedzonka, wie, gdzie były święte gaje pogańskie, gdzie odpoczywał przed bitwą Jagiełło, i pamięta nawet, na jakim tłuszczu smażono zapustowe pączki; nie tylko dlatego, że umie szperać w historii i że sama jest żywą kroniką Warmii, jednym z nielicznych pisarzy, którzy mogą dziś powiedzieć: „ta wieś znała dobrze gwarę mazurską, tamta zapomniała już pieśni, ta rodzina zasłużyła się dla polskości, tamta się jej wyparła..."; nie tylko dlatego, że Pieńkowska nieustannie powołuje się na autorytet Zientara-Malewskiej i że sama, jako reporterka, opisuje miejscowości i ludzi z ogromną świeżością i niewątpliwie „na gorąco" — nie tylko dlatego odbiera czytelnik wrażenie, że na pewno *tak było* i *tak jest*, ale przede wszystkim dlatego, że książka pisana jest z pasją, która zwodzić nie może. Obie autorki wyraźnie zaangażowały się uczuciowo w temat i w kraj. Opisują go żarliwie i pięknie, jak dwie poetki — choć nie wiem czy tytuł ten przysługuje urzędowo Pieńkowskiej — każda w inny sposób: Zientara-Malewska poważnie, surowo, nie umiejąc jednak odmówić sobie przyjemności opisu pejzażu Brąswałdu i w ogóle rozkoszując się warmijską przyrodą, Pieńkowska kameralnie, lubując się raczej w opisach domostw i ludzi, ze specyficznym, filuternym, często stylizowanym na naiwność wdziękiem („księżyc gramoli się na drzewo"). Tak, ramię w ramię wędrują poprzez krainę lasów, wody i krwi — i mówią o niej prawdę.

Ale komu? Ale jakiemu adresatowi? Wszystko w tej książce jest dziwne. Od suchego, kronikarskiego stylu Zientara-Malewskiej odbija gawędziarstwo Pieńkowskiej. Pierwsza mówi o przeszłości, która minęła i nie ma prawa wrócić, druga o teraźniejszości. Może więc właśnie dobrze się uzupełniają? Może, ale chyba nie w jednej książce. I czy słusznie postąpił Instytut Wydawniczy „PAX" jednocząc te obie twórczości? Innymi słowy: czy czytelnicy Zientara-Malewskiej będą czytelnikami Pieńkowskiej i czy czytelnicy Pieńkowskiej mogą być czytelnikami Zientara-Malewskiej?

Maria Zientara-Malewska daje zwykle podstawę rozdziału pisząc jakby króciutkie compendium wiedzy o danym terenie. Czytając jej tekst odnosimy wrażenie, że bardzo dobrze się stało, iż pisarka ocala fakty, których poza nią nikt nie zna i które w ten sposób nie zginą. Jej tworzywo stanowi zapewne poważny materiał dla historyka i etnografa, dowiadujemy się z niego o sprawach miejscami przyczynkarskich, miejscami bardzo istotnych. Wykorzystując skarby zarówno własnej pamięci, jak zapomnianych, a także cennych, kronik parafialnych, autorka zebrała skrupulatnie znaczny materiał faktograficzny. Potrafi też rzucić oryginalne światło na wiele zagadnień, np. szkolnictwo ludowe na Warmii, rolę prasy i Kościoła w okresie „przetrwania". Dowiadujemy się m. in., że Warmia była zawsze krajem zacofanym i biednym, raz po raz nękanym przez najazdy nie tylko Krzyżaków, ale również Litwinów, a także przez ustawiczne epidemie; dowiadujemy się ciekawych szczegółów o zarobkach chłopów i uposażeniu robotników rolnych w XVIII w.; dowiadujemy się, że w okresie krzyżackim organizatorem polskości na Warmii była kuria biskupia, że po rozbiorach ostoją ducha narodowego było nauczycielstwo, „Gazeta Olsztyńska", i kler — często w cudzysłowie, tzn. reprezentowany przez organistę, że jedyną polską książką w domu bywał często modlitewnik lub śpiewnik, że ogromny, jeżeli nie przeważający procent tych polskich nauczycieli i księży zginął w obozach koncentracyjnych. Dowiadujemy się przede wszystkim o upartej, codziennej, wieloletniej i zwycięskiej walce Warmiaków z naporem germanizacji. Zientara-Malewska ustawicznie operuje nazwiskami i faktami. Obok nich daje nam jednak w rozdziale o Olsztynie rodzaj wykładu historii stosunków polsko-niemieckich, bez powołania się na jakiekolwiek źródła historyczne. Z tym jednym wyjątkiem można uznać część książki pisaną przez nią za ciekawą dla historyka-fachowca, a może zbyt specjalną dla czytelnika przeciętnego.

Maria Zientara-Malewska

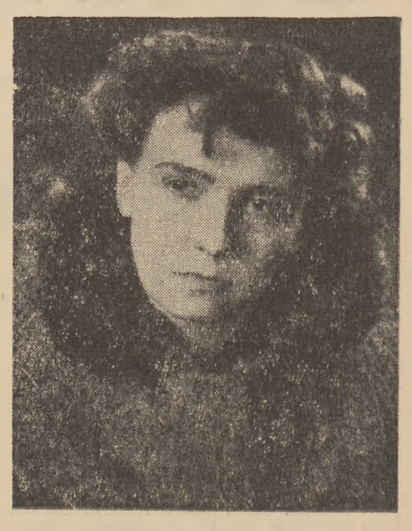

Wanda Pieńkowska

Inaczej z częścią Pieńkowskiej, pisaną o współczesności i to bynajmniej nie dla naukowca, ale raczej dla przeciętnego odbiorcy. Pieńkowska pisze łatwo, przyjemnie, popularnie, bardzo po reportersku i trochę bezproblemowo. Życie łapie na gorąco, łatwo nawiązuje kontakty i każdy reportaż pisze z innej dziedziny. A więc: o spółdzielniach rybackich, PGR-ach, kolekcjonerach etnografii, zakładach przemysłowych, lecznictwie, dzieciach, sporcie, polskości. W ogromnym tym materiale uderza jednak nietypowość: z małymi wyjątkami to samo mogłoby dziać się gdzie indziej. Nie czuje się specyfiki terenu. Może to właśnie dobrze, że autorka nie puszcza się na pochopne uogólnienia, że decyduje się pisać tylko o takich sprawach, które zna dobrze. A jednak nie. Pozostając z całą rewerencją dla uczciwości reporterskiej, nie możemy darować Pieńkowskiej takiego na przykład rozdziału o tartaku w Wypsowie. Najpierw przyznaje, że nikt z kierownictwa nie chciał z nią mówić („...myślę, że są bardzo dzielni i na pewno wykonują plany i przekraczają normy... ale nic bliższego Wam o nich nie powiem... ponieważ nie chcieli zdradzić się przede mną swoimi osiągnięciami... nie powiem, bo nie widziałam, za nic mi nie chcieli pokazać..."), potem cytuje kilka nazwisk przodowników, żeby zakończyć dwustronicowym opisem babci Bezimiennej i kota Mruczusia. To, że hitlerowcy wymordowali babci całą rodzinę, nie jest usprawiedliwieniem dla podobnego marnotrawstwa reporterskiej treści. To, że reportera nie chcą gdzieś wpuścić, nie stanowi również usprawiedliwienia. Nie opieram się na wyjątku. W innym miejscu zdanie zaczyna się od słów: „Mój wierny przyjaciel, przypadek, sprawił..." To zdanie jest dosyć znamienne. Przypadek rządzi trochę reporterką Pieńkowskiej. Może dlatego świat widziany jej okiem jest światem idealistycznym i różowym. Poza rzeczową krytyką organizacji życia kulturalnego i komunalnego Olsztyna widzimy tam tylko pracowitych robotników, uczciwych przełożonych, zadowolone babcie, niezrównanych kierowców, zapalonych społeczników, uniedzielnioną rzeczywistość. Nie chodzi o to, żeby wszystko krytykować. Dobrze nam z miłością Pieńkowskiej do roślin, zwierząt i ludzi. Ale takie uróżowione widzenie reporterskie osłabia zaufanie czytelnika. Zwłaszcza kiedy autorka pisze o świecie tak trudnym jak Warmia. Wiemy, ile jest tam konfliktów. Nie znajdujemy prawie wzmianek o nich u Pieńkowskiej. A szkoda. Bo jej głęboki humanizm plus werwa pisarska, plus zmysł obserwacyjny i poczucie humoru — mogłyby zasygnalizować i przyczynić się do rozwiązania niejednej trudności.

I znowu musimy zapytać: dla kogo to pisane? Dla Warmiaków, którzy to znają? Żeby im zrobić przyjemność? Czy dla nas, którzy po przeczytaniu stwierdzimy, że na Warmii wszystko jest takie samo, lub prawie takie samo jak w całym kraju? Dla kogo pisane te surowe karty Malewskiej i rozlewne, uśmiechnięte karty Pieńkowskiej? I czy ta książka powinna była się ukazać?

N i e w ą t p l i w e — t a k! Jeżeli po przeczytaniu zapytamy siebie, czy wniosła ona coś do naszej wiedzy o świecie — zobaczymy od razu retoryczność tego pytania. Ta książka nie tylko powinna była, ale m u s i a ł a się ukazać. Najpierw jako niezrównany dokument kraju i ludzi. Potem jako dokument przejściowej, przelotnej, kończącej się na szczęście epoki zżywania się Warmii z Polską. I wreszcie jako dokument serca, krzyk Warmii, hołd dla cierpienia i woli. Zdajemy sobie sprawę, że gdyby ta książka się nie ukazała, gdyby tym sprawom i ludziom ktoś nie wystawił świadectwa, zaczęłyby wołać kamienie i krew. Niedługo, za lat pięćdziesiąt lub sto, kiedy nikt z ludzi pamiętających rok 1945 nie będzie już żył, historyk lub człowiek zwyczajny mógłby pomyśleć, że t o w s z y s t k o przyszło dość łatwo...

Jerzy Stadnicki

[1]) Maria Zientara-Malewska i Wanda Pieńkowska: „Rośnie do słońca", wyd. „Pax", 1954.

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

GWIAZDY FILMU DOKUMENTALNEGO

TRZEBA na wstępie przyznać, że Śląsk i Warszawa mają szczęście do tych gwiazd. Wprawdzie swoje kontakty z kinematografią Śląsk rozpoczął niezbyt szczęśliwą „Kopalnią", ale już „List górnika" był jedną z naszych pierwszych wybitnych pozycji dokumentalnych. Film ten był fabularyzowaną opowieścią o nowych metodach pracy w górnictwie i chyba po raz pierwszy w sposób tak ostry i pełny plastycznych rysów malował bohaterów naszych czasów — ludzi pracy. Po raz pierwszy z ekranu przemawiali do nas górnicy - ludzie, a nie odczłowieczone maski. „List górnika" był reportażem z pierwszej linii walki o realizację Planu 6-letniego. I to reportażem typu nie tylko rejestrującego tę walkę. Był to właściwie pierwszy nasz film ukazujący nowy stosunek do bohatera — człowiek to już nie tylko sztafaż panoramy przemysłowej, ale jej twórca. Co ciekawsze, film ten był „nowatorem" nie tylko na terenie twórczości dokumentalnej — ale i filmu fabularnego, który bezskutecznie mocował się z napierającą rzeczywistością.

Sukces „Listu górnika" był potwierdzeniem słuszności tej drogi i metod pracy, którą zapoczątkowała w filmie dokumentalnym rok wcześniej „Szeroka droga". Bo „Szeroka droga" była właściwie tym pierwszym filmem, który przezwyciężył antyrealistyczne tendencje panoszące się w naszym filmie dokumentalnym w latach 1946—49, i z reportażu o budowie Trasy W—Z wydobył humanistyczne akcenty, nowy stosunek człowieka do pracy, więzy kolektywu, kierującą myśl Partii. „List górnika" te wydobyte wartości rozwijał i ukazywał ich krasę. Jego bohaterowie byli bardziej zindywidualizowani, bardziej plastycznie rysowała się siła kolektywu, a bogatsza pod wieloma względami dramaturgia zwiększała jego wartości emocjonalne. I stąd „List górnika" wyrastał jakby na prekursora nowego kierunku w naszym filmie dokumentalnym — kierunku na budownictwo socjalistyczne, na pełnię i wielkość człowieka.

Oczywiście, niejednego czytelnika może zdziwić fakt, że spośród naszych filmów dokumentalnych lat 1946—49 nie wymienia się takich, jak „Suita warszawska" czy „Wieliczka", które zdobyły laury dla naszej kinematografii na zachodnio - europejskich festiwalach. Ale gdy dziś analizujemy te filmy — to, doprawdy, nie znaleźlibyśmy tam nic poza naleciałościami kanonizowanymi przez burżuazyjną estetykę formalistycznych awangard filmowych i bardzo ładną fotografią. Jakaś katastroficzna wizja zniszczenia i płytkie obrazy odbudowy pozostałe z „Suity warszawskiej" oraz mgliste światełka migające w sztolniach Wieliczki. Piękno stalaktytów solnych i wycyzelowane kadry z poszczerbionymi murami miały w sobie coś z estetyzującego snobizmu, a nie okrutnej prawdy zniszczenia stolicy i prawdziwego, nie obrazkowego piękna pracy górniczej.

Z lat tych warto właściwie zapamiętać filmy publicystyczne: „Ostatni Parteitag w Norymberdze" i „Odpowiedź" oraz reportaże typu kronikarskiego, bogate w żywe relacje o wydarzeniach „Powódź", „Wielki redyk", „Połowy dalekomorskie", „Budujemy Warszawę". One wyznaczały pierwsze kroki rozwoju naszego filmu dokumentalnego.

Pierwsze lata walki o realizację Planu 6-letniego nie przyniosły niestety, oprócz „Listu górnika", wybitniejszych osiągnięć w filmie dokumentalnym. Walka z formalizmem przeobraziła się w zwalczanie przejawów twórczych. Niemal każdy interesujący, artystyczny pomysł potępiano w czambuł jako pozostałości burżuazyjnego estetyzmu. Powstawały filmy sztampowe i nudne, pełne wyświechtanych frazesów i lakiernictwa. Jedynymi naszymi jasnymi punktami są: epicki reportaż z Warszawskiego Kongresu Pokoju „Pokój zdobędzie świat", publicystyczna „Korea oskarża", zmontowana z materiałów zagranicznych, poetycki w swym nastroju film „Dzieło Mistrza Stwosza" i reportaż z budowy huty im. B. Bieruta „Częstochowa".

Oczywiście, to kropla w morzu produkcji, a jeśli się weźmie pod uwagę, że aktualnej, problematyce budownictwa socjalistycznego poświęcony był tylko jeden tytuł — to nasze obrachunki ze współczesnością tych lat były kompromitujące. „Częstochowa" była jedynym filmem, który dzięki celnej argumentacji obrazowej naszych dni i przeciwstawieniu jej nędzy rządów burżuazji mówił przekonywająco o sensie socjalistycznej przyszłości. Film ten w stylu swym przypominał raczej poszerzony, aktualny temat kroniki filmowej, ale braki dramaturgiczne w dużej mierze osłabiały realistyczną wymowę pełnych epickiego rozmachu zdjęć. Toteż chociaż nie dorówna on siłą ekspresji artystycznej „Listowi górnika", niemniej w okresie gorączkowego chaosu twórczości dokumentalnej ukazywał możliwości wyjścia ze schematycznej matni. Walka o tę swobodę trwała wprawdzie dość długo, ale po szeregu doświadczeń z takimi pozycjami, jak „Mistrzowie szybkich wytopów", „Żerań", „Kierunek Nowa Huta" czy „Pamiętniki chłopów" — film dokumentalny zdobył się na nową pozycję, która podobnie jak w swoim czasie „List górnika" oznaczała nowy etap w rozwoju twórczości dokumentalnej: była to „Wesoła II". Historia budowy nowej kopalni znalazła na ekranie godny siebie obraz, pełny epickiej ekspresji, a jednocześnie nie pozbawiony pełnokrwistych, zindywidualizowanych bohaterów. Gwiazdy znowu świeciły nad Śląskiem. Jeszcze pełniej, przemówił w kilka miesięcy

DYSKUSJA O WSPÓŁCZESNEJ MUZYCE

NORBERT KARAŚKIEWICZ

O WŁAŚCIWĄ ATMOSFERĘ

PROBLEM muzyki współczesnej poruszony przez Wacława Gluth Nowowiejskiego w artykule „Muzyka bez odbiorców" należy w chwili obecnej do kluczowych zagadnień naszego życia muzycznego.

Długoletnia obserwacja tego, co dzieje się na odcinku upowszechnienia muzyki wskazuje na wielkie zaległości w tej dziedzinie. Zła propaganda muzyki współczesnej wśród społeczeństwa, niezrozumienie przez organizacje odpowiedzialne za sprawy kultury istotnych zadań stojących przed dzisiejszym kompozytorem, niewłaściwa krytyka i błędna często postawa samego kompozytora wobec zagadnień realistycznej estetyki — oto kilka pobieżnie rzuconych problemów wymagających jak najszybszego rozwiązania.

Każdy, kto obserwował rozwój kultury muzycznej w takich krajach jak ZSRR, Niemcy i Czechosłowacja, musi stwierdzić, że rozwój ten odbywał się stopniowo, że olbrzymie zainteresowanie muzyką było wynikiem rozbudzenia zamiłowania muzycznego wśród szerokiego społeczeństwa.

Niewątpliwie dużą rolę w umuzykalnieniu tych krajów odegrało w przeszłości mieszczaństwo i warstwy „oświecone", które u nas nie wykazywały szerszych zainteresowań muzycznych. Stąd w rozwoju polskiej kultury muzycznej istnieje olbrzymia luka pomiędzy poł. XVII i XX wieku; nasza zaś działalność na terenie upowszechnienia muzyki w pierwszej połowie XX wieku była tak nikła, że bez jakiejkolwiek przesady możemy uznać rok 1945 za datę przełomową, za początek złotego wieku w muzyce polskiej. Rozkwit ruchu amatorskiego, jaki nastąpił po wojnie, był bardziej wynikiem odpowiedniego ustosunkowania się Partii i Rządu do spraw upowszechnienia kultury, niż naturalną potrzebą szerokiego społeczeństwa.

Dzisiejsze osiągnięcia na tym polu są tej samej wagi, co budowa Nowej Huty, czy odbudowa Warszawy. Brak jednak wystarczającej ilości fachowców, ludzi obeznanych z zagadnieniem upowszechniania muzyki, wpłynął na poważne niedociągnięcia, na zmarnowanie kapitału i energii ludzkiej zwłaszcza na odcinku ruchu amatorskiego. Polski amator to bardzo często wykonawca złej gatunkowo muzyki rozrywkowej, lub prymitywnie opracowanej ludowej wiązanki choreograficznej. W tych warunkach brak mu przygotowania do apercypowania muzyki problemowej, operującej formą rozbudowaną o bogatych środkach wyrazu muzycznego. Przeciętny słuchacz koncertów symfonicznych, a nawet niejednokrotnie muzyk zasiadający przy pulpicie orkiestrowym — mają z symfoniką, muzyką operową czy kameralną kontakt jeszcze bardzo świeży, obfitujący w małą ilość materiału porównawczego. Stosunek więc zarówno słuchacza jak i muzyka jest często pozbawiony właściwych kryteriów oceny artystycznej.

Bardzo często zawarta w twórczości problematyka postępowa, wybiegająca daleko w przyszłość, bywa przez współczesność nie zauważona lub nie zrozumiana (np. ostatni okres twórczości Mozarta czy Beethovena). Dlatego przed ludźmi odpowiedzialnymi za losy kultury, a szczególnie przed organizacjami zawodowymi i politycznymi wyrasta niebłahe zadanie uświadomienia naszego społeczeństwa o ważności tej problematyki, zaopiekowanie się losami polskiej muzyki współczesnej.

Poważną rolę do spełnienia ma prasa lokalna, która stanowczo powinna zwiększyć ilość miejsca poświęcanego sprawom muzycznym, a zwłaszcza w okresie Festiwalu Muzyki Polskiej zamieścić szereg artykułów problemowych, omawiających dzisiejszą twórczość muzyczną przez ludzi dobrze znających zagadnienie. Każde zaś prawykonanie i powtórzenie któregoś z utworów współczesnych musi trafić w danym środowisku na grunt odpowiednio przygotowany, trzeba stworzyć atmosferę, jakiegoś ciepła i życzliwego oczekiwania — co zresztą prasa umie tak świetnie robić np. przed imprezami sportowymi.

Specjalny rozdział w historii rozwoju polskiej muzyki współczesnej należy się krytyce muzycznej. Przeglądając na przestrzeni minionych lat różne wypowiedzi doszedłem do wniosku, że wielokrotnie krytyka nieopatrznie szafowała swym orężem, nie wychowując, ale uprzedzając publiczność do muzyki współczesnej. Kompozytorowi raczej utrudniała proces odnalezienia siebie sztucznym schematyzowaniem oceny dzieła. Zalecając kompozytorowi kontakt z życiem, z typowymi problemami współczesności — sama od tego życia odbiegła chroniąc się w subtelnie budowanych, przez siebie tylko rozumianych spekulacjach filozoficzno-estetycznych na temat twórczości. Nie rozumiejąc złożoności procesu twórczego, nie czując w należyty sposób odpowiedzialności za każdą dojrzewającą dopiero indywidualność artystyczną — krytyka muzyczna przejmowała rolę historii wypowiadając swój sąd zbyt pośpiesznie i zbyt kategorycznie, myląc się niejednokrotnie we właściwym rozszyfrowaniu treści wewnętrznej utworu i w sposób fałszywy — często wbrew ogólnej opinii — oceniając jego wartość ideowo-artystyczną.

Niewłaściwe rozwijanie i stosowanie sztucznych założeń estetycznych bardzo często dezorientowało kompozytora w jego poszukiwaniach realizmu i prowadziło do bezpłodnego naśladownictwa, wzorowania się na utworach sztucznie lansowanych i otoczonych przesadną pochwałą przez krytykę muzyczną.

Zagadnienie to trzeba również odnieść do grona samych kompozytorów.

Życie biegnie własnymi, niezależnymi prawami. I ono właśnie domaga się od kompozytora prawdy, wyrazu, właściwego rozwiązania. To nic, że kompozytor szuka, męczy się w gigantycznym trudzie pokonania zapory dzielącej go od tego życia. Jego wyraz i rozumienie mogą się pogłębiać, jego spostrzegawczość i zmysł obserwacji zaostrzyć — nie wolno mu jednak zatracić instynktu, wyczucia kierunku, w którym podąża współczesność. Nie wolno mu zapomnieć o człowieku, który wobec ogromu dzisiejszych zagadnień musi doznawać wielkich, czysto ludzkich przeżyć, by zagadnieniom tym nie tylko sprostać, ale wnieść do nich prawdziwie twórczą inicjatywę. My wszyscy, pozostający na uboczu warsztatu twórczego kompozytora, możemy domagać się od niego przede wszystkim tych właściwości, które charakteryzują każdego z prawdziwego zdarzenia artystę — pasji twórczej. Przy dzisiejszym poziomie muzycznego wykształcenia absolwenta PWSM, muzykę pisać może również dobrze skrzypek czy pianista, nie mówiąc już o studentach teorii specjalnej. Jest jednak zasadnicza różnica między zgodnym z zasadami harmonii, kontrapunktu czy form muzycznych pisaniem nut a tworzeniem dzieła sztuki.

Biorąc pod uwagę przeciążenie pracą orkiestr symfonicznych, idealnym wyjściem z sytuacji byłoby stworzenie specjalnej orkiestry, oddanej do dyspozycji Związku Kompozytorów, niezależnie od przesłuchań terenowych. Każdy twórca miałby wówczas szerokie możliwości skonfrontowania realizacji dzieła z zamierzeniem, terenowe natomiast przesłuchania dzieł już zakwalifikowanych do publicznego wykonania wzbogaciłyby kompozytorów w materiał dyskusyjny i poszerzyły dotychczasowe uwagi krytyczne. Wreszcie muzyka współczesna, nawet najlepsza, musi być dozowana w sposób umiejętny, przy odpowiednim ustawieniu programu i dostosowaniu go do warunków terenu.

Artykuł drukowany wyżej jest fragmentem dłuższej wypowiedzi dyskusyjnej.

RED.

ANDRZEJ SZAREK

Źle pojęta ludowość

Po przeczytaniu artykułu W. Nowowiejskiego „Muzyka bez odbiorców" zatrzymałem się na chwilę nad niezbyt wesołą sytuacją, w jakiej — zdaniem autora — znajduje się współczesna twórczość muzyczna, aż tak trudna do percepcji i tak nowatorska, że w konsekwencji cieszy się aprobatą nielicznego tylko grona odbiorców. Autor artykułu, obrazując fakty niepopularności nowej muzyki, niewiele jednak miejsca poświęca przyczynom, które składają się na ten stan rzeczy, zamyka je w kręgu nowych, niezrozumiałych jeszcze środków, jakimi operują dzisiejsi muzycy. Tymczasem przyczyn tych jest znacznie więcej, a jedną z istotniejszych staje się źle rozumiany dogmat ludowości, zagadnienie już wcześniej wielokrotnie dyskutowane.

O każdym niemal nowym dziele mówi się, że oparte jest na pierwiastkach czy motywach ludowych — tak jak gdyby to było rękojmią jego wartości. I tak ludowym staje się już nie tylko mazurek czy oberek, ale uwertura, symfonia, koncert na harfę itd. — aż do obłędu. Nie przeczę, że w okresie ostatnich lat powstało wiele wartościowych i ciekawych utworów opartych na folklorze; niemniej, po przeczytaniu programu koncertu symfonicznego zawierającego współczesną muzykę polską, należy przygotować się do wysłuchania po raz n-ty oklepanych już rytmów lub melodii — obojętne, czy są to cytaty starych motywów ludowych, czy też twórcze, artystyczne ich przetworzenie.

Niedawno wysłuchałem wykonania pewnego utworu symfonicznego, który — choć zwarty w formie klasycznej — miał się opierać na folklorze wiejskim. Zgadzam się ze starą zasadą, że treść nie przeczy formie, nie zdziwił mnie więc pomysł kompozytora, byłem natomiast zaskoczony realizacją tego pomysłu. Utwór skomponowany został, powiedziałbym jako l'hommage à tous. Początkowo pojawiły się w nim znajome rytmy ludowe na przemian z fragmentami bachowskimi i ravelowskimi, szybko jednak wszystko wzniosło się w górę, jak „Ekstaza", żeby wybuchnąć wreszcie przeraźliwym rumorem kotłów i blachy. W rumorze tym, mimi szczerych chęci i pozytywnego nastawienia do dzieła, nie mogłem jednak doszukać się zapowiadanej i reklamowanej ludowości.

Zjawisko przemycania pod stemplem ludowości kompozycji miernych staje się tym dziwniejsze, że w tej dziedzinie nie brak nam wspaniałych, pełnowartościowych wzorów. Ludowość ballad Chopina nie ulkwi przecież w rytmach, intonacji czy harmonii pieśni ludowej, ale w nastroju romantycznego opowiadania.

Inną przyczyną impasu współczesnej twórczości muzycznej staje się stanowisko kompozytorów wobec zamówienia społecznego, przejawiające się w tworzeniu dzieł pozbawionych wyczucia formy, czy też możliwości danego instrumentu. Ogólnie wiadome jest, że Rosjanie posiadają zdolności do śpiewu zbiorowego, Francuzi niezwykłe wyczucie drzewa, Rumuni, Węgrzy — instrumentów smyczkowych, Niemcy — blachy. Nie znaczy to jednak, że Polak nie może w przyszłości skomponować najpiękniejszego utworu na flet, piękniejszego od koncertu fletowego Mozarta czy poetycznych ravelowskich partii z „Bolera". Nie skomponuje go on jednak nigdy, jeżeli nie będzie wyczuwał instrumentu.

Chopin pisał „na fortepian", bo wiedział że umie pisać „tylko na fortepian" — w stanowisku tym była skromność geniusza i jego wielkość. Warto, by pamiętali o tym nasi muzycy zagubiający nieraz własną indywidualność na rzecz źle pojętego zamówienia społecznego, na rzecz źle pojętej ludowości w sztuce. Kompozytor powinien tworzyć własne melodie, które, jeżeli będą wyraziste muzycznie same przez się — wzbogacą skarbiec naszej muzyki narodowej. Nie powinien zwężać swej działalności kompozytorskiej, spłycać zagadnienia twórczości, błyskać efektowną instrumentacją nie sprzyjającą zrozumieniu treści utworu. Unikając tego, wzbogacony dokładną znajomością instrumentu i jego intuicyjnym wyczuciem — na pewno zbliży swą sztukę do szerokich mas odbiorczych.

Nasi twórcy muzyczni powinni dążyć do tego, by po przesłuchaniu kilku taktów utworu — tak jak się mówi: „to Haydn, Scarlatti, a to Chaczaturian", można było powiedzieć: „to Lutosławski, Baird, a to Serocki".

Współczesna muzyka nie zawsze jest, jak to widzi W. Nowowiejski, nowatorska i eksperymentalna. W poszukiwaniach swych opiera się ona o zdobycze uzyskane przez poprzedników oraz o wytyczne ogólnej polityki kulturalnej.

Andrzej Szarek

ZYGMUNT FALKOWSKI

MÓWI WIDZ ze środkowych rzędów

NALEŻY przypuszczać, że w teatrze oprócz recenzenta widz także coś znaczy. Tak sobie pomyślałem po licznych recenzjach Klucza od arsenału, wodewilu pióra wrocławskiej pary autorskiej Ewy Szumańskiej i Stefana Łosia.

Recenzenci strofowali autorów za niedokładności historyczne, demonstrując (według Zbigniewa Florczaka: Nowa Kultura nr 43), swoje zadąsanie darciem szat, widocznie w tym celu, aby swą skrupulatność wzmocnić efektem. Recenzenci karcili reżysera, Jakuba Rotbauma za przerost upodobań do sztuk o gigantycznej obsadzie. Recenzenci przędli cienko pochwały i bez porównania grubiej nagany. Mimo to widz się nie zrażał. Oblegał kasę teatralną. Szczelnie wypełniał salę. Klaskał, śmiał się, rozprawiał. Był zadowolony z wieczoru. Kolportował to zadowolenie wśród znajomych. Znajomi wśród innych znajomych. Tak powstawała reakcja łańcuchowa powodzenia i kompletów. To wszystko działo się na przekór recenzjom. Widz swoje a recenzent swoje.

Dla autorów była w tej kontrowersji pożyteczna lekcja taktyki. Wodewilem już po raz drugi zdobyli publiczność. Tym razem sprowadził on ich na teren historii, w schyłek osiemnastowiecza tuż, tuż przed insurekcją Kilińskiego między starodawne (choć świeżo wyrestaurowane) kamieniczki Starego Miasta. Słowa ujęte w nawias wskazują, że nie było nic antykwariackiego w poczęciu Klucza od arsenału. Raczej liryczny wypad ze współczesności — w przeszłość: „w nocy, kiedy uciszał się na chwilę hałas — zwierzają się autorowie — i księżyc pokrywał srebrną patyną kontury tego, co powstało zaledwie kilka godzin temu, Rynek zaludniał się jak dawniej postaciami starych książek, opowiadań, legend." To jest naprawdę przyjemny duet: Szumańska i Łoś z nalotem staromiejskich melodii Or-Ota i Gomulickiego. To prosi się o stylową piosenkę, wesołą anegdotę, przygodę, ruch kolorowych figur. Z takiego pasażu, z takiej inicjacji może się wykluć tylko wodewil. „Klucz od arsenału nie jest sztuką historyczną" — usprawiedliwa się para autorska. Ale jest w nim stosunek do historii. Stosunek współczesny sejsmograficznie czujny na drgnięcia tektoniki społecznej: na opozycję ludku warszawskiego, przekupek, rybaków, mieszczek wobec warszawskich bogatych łyków i próżnych galantów, na rewolucyjny niepokój, najsilniej skondensowany w scenie ludowego sądu nad kukiełkami możnych zdrajców.

Widz chętnie podąża za piosenką, za żartobliwym dialogiem. To jest dla niego łatwe, rozweselające, choć czasem przyprószone łezką. Tak przyjmowano Krakowiaków i górali. Trudno zaręczyć, czy niektóre melodie Klucza od arsenału wdzięcznie ustylizowane przez Ryszarda Bukowskiego nie zaczną kursować po całym Wrocławiu? Autorowie, celując w szeroką publiczność, nie spudłowali. Ich wodewil trafił w samo centrum. Powinien mocno siedzieć w repertuarze. Co też tak widza wzięło?

Widz odpowiada: Odpoczywam na przedstawieniu Klucza od arsenału. Ta anegdota o starej Warszawie, te duety, piosenki i tańce... Jakież to inne niż dzisiaj, a swojskie i bliskie. Taki folklor na scenie lubię. Lubię, bo mnie do niego nastroiły kiedyś czytane wiersze i proza.

— Cóż więcej?

— Podoba mi się wybór motywów i sentymentów. Mieszczka zakochana w rybaku. Para amantów rozrzewniająca. Galant nie pierwszej młodości, który poluje na młodziutką Anusię a wpada na przekwitłą Barbarę. To znowu para zabawna. Szablon operetkowy? Może. Śmieszne mieszczuchy świecące golizną a niewyzbyte z pańskich fumów, dufny w siebie i we własny trzos mieszczański literat, zadzierzyste przekupki, oberżystki...

— A jeśli pan łaskaw, aktorzy?

— Bardzo mili. Ładnie śpiewają. Dialog wypada u nich wesoło. Tempo, gest, barwność. No, a Benoit — niezrównany. Beczka śmiechu. I Aleksander Olędzki, ten pantoflarz z wiecznie bolącymi zębami, i Bogusław Danielewski, urodzony ptasznik, i Zbigniew Niewczas, dzielny choć amorliwy rybak, i Jadwiga Gibczyńska sentymentalna mieszczaneczka, i Danuta Korycka, straganiarka głośna na Rynku, bo ciągle hucząca wymyślaniami — wszyscy oni zarobili u mnie na szczerą przychylność. Taką grę lubię. Bez pozy, wartką, zmienną, dobitną.

— To reżyser.

— Przede wszystkim aktorzy. Ich temperament. Zrozumienie ról. Staroświecczyzna, w której wybornie się zaaklimatyzowali. Wreszcie Aleksander Jędrzejewski. Wyczarował on kamieniczki z wiekową patyną, wybrzeże Wisły — takie rodzime. Widok na dawną Warszawę. Jego dekoracje, jakby to powiedzieć, wtrąciły mnie w błogostan całkowitej aprobaty.

— Przecież reżyser...

— O reżyserze dwie anegdoty. Pierwsza. Jest doskonały jak zegarek Schaffhausena. Zawsze co do sekundy. Gdy jednak znajdzie się w jakimś polu magnetycznym (psychologia lubi problem intelektualny) zaczyna pokazywać na opak. Wtedy artyści trafiają wszędzie po niewczasie. Druga anegdota. Do reżysera zabłądził rękopis sztuki. Obsada. x + y. Reżyser przeczytał i dodał... dziesięć osób. Zaprotestowano. Wtedy skreślił x + y. Resztę zostawił. Jest bowiem kompromisowy. To reżyser dla mas... czujący słabość.

— W takim razie Klucz od arsenału mu odpowiadał.

— Klucz od arsenału — to dobry samograj, moim skromnym zdaniem. Zdaniem widza ze środkowych rzędów.

Zygmunt Falkowski

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Dziś i Jutro" (48), z dnia 28 listopada br., zamieściliśmy na pierwszej stronicy zdjęcia z inauguracji roku akademickiego w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

W treści podpisu pod lewym zdjęciem błędnie podaliśmy nazwiska osób na nim figurujących, które niniejszym prostujemy: powinno być od lewej do prawej: ks. prorektor dr Marian Michalski, ks. rektor dr Jan Czuj, ks. prorektor dr Tadeusz Kruszyński. Za omyłkowy podpis przepraszamy ks. prorektora Michalskiego i naszych Czytelników.

Redakcja

później film „Kolejarskie słowo", który autentyczny dźwięk głosu ludzkiego włączał jako jeden z pełnowartościowych środków wyrazu artystycznego.

Ale pomyślne wiatry nie ominęły również i warszawskiego nieba. Przepędziły chmurki schematyzmu, grożące tu i ówdzie ulewą nudy. Powstał film „Warszawa", który w trzech wielkich sekwencjach ukazał zniszczenie, odbudowę i życie powstającej z gruzów socjalistycznej stolicy. Bogactwo języka filmowego, mocny kręgosłup dramaturgiczny sprawiły, że film ten cieszył się powodzeniem nie tylko naszego widza, ale przyniósł nam szereg laurów i za granicą. Ale nie tylko gwiazdy nad stolicą Zagłębia i stolicą Polski jarzyły się mocnym światłem. Interesujące były próby stworzenia poetyckiego obrazu filmowego w „Ślubujemy" i „Gdańskiej opowieści". Mocny atut posiadali twórcy w aktualnościowym reportażu, czego dowód dali w „Egzaminie" i „Byliśmy w Bukareszcie". Powstała w ostatnim roku opowieść o warszawskiej Starówce „Powrót na Stare Miasto", pełen emocji reportaż z Wyścigu Pokoju, „W pogoni za żółtą koszulką", epicki dokument o Wojsku Polskim „Synowie ludu", reportaż o pracownikach ratownictwa okrętowego „Wrak" i jedno z naszych najwybitniejszych osiągnięć dokumentalnych dziesięciolecia: „Gwiazdy muszą płonąć". (I to znów nad Śląskiem!) Fabularyzowana opowieść o pracy polskich górników przedstawiona została w sposób pełen dramatyzmu, poezji i piękna. Bogaty w artystyczne środki wyrazu warsztat reżyserski nadał pozornie „szaremu" tematowi tyle ekspresji, że film ten odbił się szerokim echem nie tylko w środowisku filmowym, ale zdobył masowego widza, który dotychczas dość wątle interesował się naszymi osiągnięciami dokumentalnymi.

„Gwiazdy muszą płonąć" oraz wiele udanych pozycji ostatnich lat świadczą, że stać naszą kinematografię dokumentalną na odkrywczość, śmiałość i wysoki poziom ideowo - artystyczny. Mankamentem tej twórczości jest to, że osiągnięcia wydają się przypadkowe, że błyskają tu i ówdzie gwiazdy sukcesu, a później na długo zapadają ciemności. Wydaje się, że organizacja produkcji, jak i sami twórcy wyciągają zbyt mało wniosków z własnych osiągnięć, za mało jeszcze eksperymentują, ograniczając się często do kopiowania własnych wzorów. Zbyt może sztywne i urzędnicze są rygory naszych wytwórni i stąd te skrępowania. A przecież wiadomo, że każda pozycja o jakimś indywidualnym obliczu wieńczona jest większym czy mniejszym sukcesem. A więc nie jakiś protokolarny obraz naszych dni, ale rzeczywistość widziana przez własny pryzmat może zainteresować widza. Film dokumentalny nie jest bynajmniej jednym ze środków protokólarnych jak fotografia, stenogram czy magnetofon. Jest środkiem artystycznego widzenia rzeczywistości i to niesłychanie w ekspresywny sposób w porównaniu do innych dyscyplin sztuki.

Gwiazdy muszą częściej płonąć nad naszym filmem dokumentalnym — bo w tej chwili stać już nas na to. Mamy utalentowanych twórców, nieograniczone niemal możliwości techniczne i zobowiązanie wobec widza.

Andrzej Odolański

Aktualia księgarniane: TYM RAZEM O PRZEKŁADACH

Na czoło ostatnich nowości wysuwają się dwie powieści niemieckich pisarzy postępowych (zaliczających się już do „półklasyków"): Liona Feuchtwangera „Sukces" („Czytelnik") i Arnolda Zweiga: „Wychowanie pod Verdun" (PIW).

„Sukces" będąc gorącym ostrzeżeniem przed faszyzmem, zachowuje wciąż jeszcze nieutraconą aktualność. „Wychowanie pod Verdun" jest drugą częścią znanego zweigowskiego cyklu (ostatnio w Niemczech ukazała się piąta część pt. „Feurpause") „Wielka wojna białych ludzi" (Część pierwsza: „Młoda kobieta z roku 1914" jest już na wyczerpaniu). Powieść kontynuuje dzieje młodego inteligenckiego małżeństwa w czasie pierwszej wojny światowej. Główny bohater, zdolny, początkujący pisarz, ulegający — jak inni — wpływom nacjonalistycznej propagandy, dopiero w okopach pod Verdun, w strasznej „szkole" wojny zdobywa gorzką wiedzę o rzeczywistości.

Od PIW-u otrzymaliśmy oprócz Zweiga nowy tom dość systematycznie wydawanej serii klasyków angielskich 18 i 19 wieku (poprzednio: „Roxana" D. Defoe i „Tessa d'Urberville" T. Hardy'ego). Znajdujemy się w „old merry England" końca XVIII stulecia. Pośród zielonych wzgórz, po obszernych wrzosowiskach hasają konno, w pogoni za lisem, młodzi „dobrze urodzeni" pankowie. W gąszczu starych parków drzemią równie stare arystokratyczne zamki i pałace. W jednym z nich żyje bibliotekarz i sekretarz pana okolicznych włości, mr Falklanda, młody plebejusz Kaleb Williams. Pragnąc poznać losy tego tytułowego bohatera, pragnąc spojrzeć poza idylliczną zasłonę, sięgnijmy po książkę Williama Godwina (jednego z najwybitniejszych i najbardziej rewolucyjnych twórców tej epoki), po książkę, która jest nie tylko ciekawą powieścią, ale i wiernym odzwierciedleniem życia ówczesnej, feudalno-burżuazyjnej Anglii.

Miłośnicy literatury egzotyczno-przygodowej cieszą się z nowego tomiku Jacka Londona: „Wyga". Młodzieżowe wydawnictwo „Iskry" wypełnia zadowalająco swą pożyteczną rolę głównego dostarczyciela tego rodzaju — bardzo potrzebnych — książek. (Niedawno wyszedł czwarty już, czy nawet piąty tom J. Curwooda: „Bart, syn Szarej Wilczycy").

Obszerna książka Konstancji de la Mora „Dwa światy" („Czytelnik"), utrzymana w formie zbeletryzowanego pamiętnika, opowiada nam historię młodej dziewczyny hiszpańskiej, córki jednej z „najlepszych" rodzin kraju, która zrywa ze swoją klasą, aby walczyć o szlachetne idee demokracji i sprawiedliwości społecznej, a w czasie wojny domowej staje w szeregu obrońców Ludowej Republiki. Książka przynosi wiele ciekawych wiadomości o burzliwej epoce lat dwudziestych i trzydziestych w Hiszpanii. „Pościg" S. Sigurdsóna jest emocjonującą powieścią z czasów ostatniej wojny, o „podziemnej" organizacji patriotów norweskich, pomagających w ucieczce na teren neutralnej Szwecji — uchodźcom politycznym z całej Europy. „W delcie czarnej rzeki" (także „Czytelnik"), to powieść o niedawno zakończonej wojnie w Wietnamie. Opisując dzieje dwóch żołnierzy z wrogich sobie armii, P. Courtade ukazuje z jednej strony cierpienia i bohaterstwo narodu wietnamskiego, a z drugiej tragedię oszukanych, walczących często z własnym sumieniem — żołnierzy francuskich.

Również „Czytelnik" wydał powieść z życia robotników angielskich (tym razem współczesną) pt. „Zdradzona wiosna" Jacka Lindsaya oraz tłumaczoną z czeskiego powieść K. F. Sedlaczka (o tematyce górniczej): „Lulzjana budzi się".

Powieść Paula Vaillant-Couturiera (wybitnego działacza Francuskiej Partii Komunistycznej, zmarłego w r. 1937): „Przychodzę z daleka" („Czytelnik") — czyli „wspomnienia z dzieciństwa i młodości" — należy do najbardziej miłych i ciekawych lektur ostatnich dni. Dzieciństwo bohatera, „francuskiego chłopca", wypełnione jest odkrywaniem — na kartach książek, w wędrówkach po Paryżu i podpirenejskich wioskach francuskich, a przede wszystkim w barwnym potoku życia, „tajemnic nieznanego świata". Książka zarówno tematycznie, jak i swym „klimatem" przypomina żywo powieść A. Würmsera „Okuty w powicie".

Wśród dalszych pozycji korzystnie dla nas rywalizującego z PIW-em „Czytelnika" wymienić należy powieść młodego radzieckiego pisarza J. Worobiowa „Zawrotna wysokość". Powieść pełna młodzieńczego entuzjazmu przenosi nas aż na daleki Ural zapoznając z życiem i pracą prostych ludzi radzieckich.

Listę „czytelnikowskich" nowości, a zarazem i naszą kroniczkę — zamknąć możemy tomikiem ciekawych nowel chińskich pt. „Pewnej nocy" oraz niemniej interesującym zbiorkiem „Bajek ludów północnych" — tłumaczonych z rosyjskiego przez J. Brzechwę.

Zbigniew Dolecki

KOMPLETY FIGUR DO ŻŁOBKA
24 sztuki
w wielkościach 20, 30, 45, 55, 85 cm do nabycia we wszystkich sklepach
„VERITAS"

PODZIĘKOWANIE

Prof. Dr Józefowi Boguszowi za uratowanie życia mojej żonie jak również ordynariuszowi kliniki chirurgicznej w Krakowie Dr Zicha, Dr Dr Pawłowskiemu, Kubicy, Gilowi za nadzwyczaj serdeczną i troskliwą opiekę, siostrom Bystro, Buładze, Kurnik i Nikiel, oraz siostrom szkoły pielęgniarek i salowym, które w czasie ciężkiej choroby mojej żony z oddaniem i serdecznością ją pielęgnowały, składam tą drogą

F. Christ

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W wa Marszałkowska 3/5
Zam. Nr 2709.
5-B-150139

Matisse — KAPLICA RADOSNA

SPOŚRÓD wszystkich dzieł Matisse'a jedno tylko narusza konwencję jego na wskoś płaskiego malarstwa. Jest przestrzenne, nie potrzebuje iluzji perspektywy dla wyrażenia swojej głębi. Kolor — intensywny i narzucający całości radosny, choć nieco tajemniczy nastrój — wzbogaca się tu o nowy element: czas; w zależności od pory dnia i położenia słońca zmienia swoje natężenie, stwarza nowe efekty i zestawienia. Forma — prosta i lapidarna, jak we wszystkich późnych obrazach Matisse'a — oszczędnością środków przewyższa całą jego dotychczasową twórczość. Praca, którą malarz włożył w to dzieło — tak świeże, że sprawia wrażenie swobodnego szkicu — zajęła blisko cztery lata studiów i projektów.

Debussy powiedział kiedyś, że pożyteczniej jest dla twórcy widzieć jeden wschód słońca niż wysłuchać Symfonii Pastoralnej. Matisse — przy całej ogromnej wiedzy, poparłej długoletnim doświadczeniem, wiedzy umożliwiającej stworzenie malarskiej symfonii — dał swojej kaplicy urzekającą prostotę i bezpośredniość, wdzięk i naturalność doskonale harmonizującą z otoczeniem.

Vence — to małe miasteczko w pobliżu Nicei; zabudowane starymi, pięknymi domami, na wpół schowanymi w bogatym i urozmaiconym pejzażu. Kaplica Matisse'a — mała, intymna, o białych ścianach odbijających jaskrawe południowe słońce — leży na stoku niewielkiego wzgórza, otoczona zielenią, kwiatami i fragmentami starej architektury. Jej zewnętrzna forma, wypływająca z tradycji południowego budownictwa, wolna jest od wszelkiego patosu. Swoją bezpretensjonalnością daje wrażenie ciepła, uroku ściśle związanego z tym ludowym, beztroskim charakterem budynku.

Geneza kaplicy wiąże się z chorobą Matisse'a w 1941 r. Siostra Jacques, która opiekowała się ciężko chorym malarzem, poprosiła go po paru latach o skorygowanie projektów witrażu w odbudowywanej właśnie po pożarze kaplicy klasztornej Dominikanów. Matisse do tego stopnia zajął się i pomógł przy ich opracowywaniu, że wkrótce — za namową brata Rayssiguier — zdecydował się sam opracować projekt całej kaplicy.

Wspólnie z bratem Rayssiguier, posiadającym pewne studia architektoniczne, opracowali plany kaplicy. August Perret — znakomity francuski architekt — zaproszony został do konsultacji.

Zakon Dominikanów docenił znaczenie udziału Matisse'a w tym ciekawym przedsięwzięciu. Ojciec Couturier, inspirator słynnego kościoła w Assy, dekorowanego przez kilku najsławniejszych malarzy, uzyskał od Matisse'a dodatkową zgodę na wykonanie obrazu do jednego z bocznych ołtarzy w tym kościele. Matisse, zajęty wówczas projektem kaplicy, wykonał dla Assy wizerunek św. Dominika, rzecz charakterem bardzo zbliżoną do późniejszych malowideł w Vence. Jest to monochromiczna, linearna kompozycja na żółto glazurowanych kaflach, umieszczona symetrycznie do obrazu Bonnarda dekorującego ołtarz w przeciwległej bocznej nawie.

Matisse, który od połowy 1948 r. zrezygnować musiał z powodu złego stanu zdrowia z malarstwa olejnego, z tym większym entuzjazmem przygotowywał projekty dominikańskiej kaplicy.

„Głównym moim celem — powiedział później Matisse — *było zrównoważenie powierzchni koloru i światła z gładką białą ścianą pokrytą czarnymi rysunkami"*.

Witraże, od których malarz zaczął swój projekt, są głównym źródłem koloru. Trójkolorowe, zielono-niebiesko-żółte, o prostym, na wpół abstrakcyjnym podziale — w zależności od godziny napełniają kaplicę światłem niebieskim czy zielonym, zmieniającym stale swój odcień i nasycenie. Podłużne, wysmukłe okna znajdują się z jednej tylko strony kaplicy. Ściany przeciwległe pokryte są białymi glazurowanymi płytami, na których Matisse z właściwym sobie wigorem i lapidarnością, grubą wrażliwą czarną kreską umieścił trzy wielkie monochromiczne kompozycje: Drogę Krzyżową, Maryję z Jezusem i św. Dominika. Całe wnętrze — oprócz jaskrawo kolorowych witraży — utrzymane jest w kolorze białym. Biała jest posadzka i prosty gładki sufit, białe, ciekawe i bardzo dekoracyjne, ażurowe drzwi do konfesjonału, na prostym ołtarzu z piaskowca stoi krucyfiks i świece.

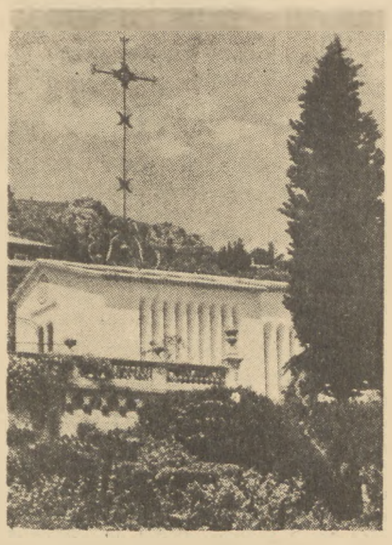

Małe (15 x 6 m) kameralne wnętrze, gdzie każdy element dostosowany jest do skali człowieka, narzuca bardzo specyficzny nastrój. Nie ma w nim tej uroczystej powagi i skupienia dawnych mrocznych świątyń. Współczesność, która doszła do głosu w tej kaplicy — wyeliminowała surowy charakter tamtych. Łagodne pomieszczenie, pełne radości i słońca, posiada jakiś bardzo gallicki, romański wdzięk, wykluczający wszelki element grozy, ale narzucający ciekawie zaprojektowane światłem pewną dystynkcję, podniosłość miejsca kultu. Jak w każdym obrazie Matisse'a, i tu kolor podporządkowany jest ekspresji, i decyduje o wyrazie całego dzieła.

Patrząc na lekko i pewnie rysowane kompozycje ozdabiające ściany kaplicy, nie podejrzewa się nawet ogromnego wkładu pracy, jaki malarz im poświęcił.

Płaty czystego koloru wpadają poprzez witraże na posadzkę i na glazurowane ściany kaplicy. Rysunki przestają być monochromiczne, ożywiają się ruchliwym i zmiennym ornamentem barwnych plam. Żaden dodatkowy kolor nie zakłóca akordu trójbarwnych bocznych witraży. Białe wnętrze, które byłoby ascetyczne i suche bez dopływu światła, zmienia się i barwi w ostrym południowym słońcu. Monumentalna postać św. Dominika na tle realnych habitów zakonnych — przez swój symboliczny, wyłącznie konturowy charakter, o twarzy określonej tylko czarnym owalem — wnosi jakiś alegoryczny, wizyjny niemal charakter.

„Kaplica ta jest dla mnie szczytowym osiągnięciem całego życia, wypełnionego pracą i kulminacją ogromnych wysiłków" — pisał Matisse po ukończeniu świątyni.

Jej znaczenie, jeśli chodzi o współczesną sztukę kościelną, jest ogromne. Obok Assy — stanowi pierwszą próbę stworzenia kościoła na wskroś współczesnego, w którym architektura współdziałałaby z nowoczesną plastyką. Kaplica w Vence wnosi jeszcze jeden dodatkowy element do budownictwa kościelnego — intymny ludzki charakter. Nie usiłuje szokować, przytłoczyć widza monumentalnością. Matisse — malarz kwiatów, dekoracyjnych martwych natur, kobiet pełnych piękna i wdzięku — stworzył wnętrze tak harmonijne i pełne radości — radości, która nic nie ma wspólnego z wesołością.

Dekoracyjność swoich płócien przeszczepił na cztery ściany kaplicy, nadał tej dekoracyjności odmienny charakter, związany z przeznaczeniem miejsca kultu. Rysunek przedstawiający stację Drogi Krzyżowej jest szorstki, porwany i chropowaty, już samą swoją formą określa przeżycie; trójdźwięk koloru witraży to nie przypadkowe piękne zestawienie — Matisse długo szukał i dobierał kolory dla wyrażenia właściwego nastroju, wykorzystał całą swoją wiedzę i ekspresję rysunku; całą magię kolorów.

Kaplica w Vence to żywy Matisse'owski obraz; apoteoza szlachetnej radości.

Jerzy Olkiewicz

Drobiazgi

KIEDY w burzliwą noc na pokładzie holownika zaczynają się rozlegać alarmujące okrzyki a Uriaszewicz skacze (na co?) — prawie nikt na widowni nie wie, o co chodzi. Skąd ten gwałt i zamieszanie? Okrzyk o pęknięciu cumy łączącej holownik z dźwigiem uchodzi uwadze, kawałek urwanej liny wciągany na pokład laikowi nic nie mówi, scena traci sens: walka o uratowanie dźwigu staje się w oczach widza niewytłumaczoną chaotyczną krzątaniną marynarzy, decyzja Uriaszewicza jest niezrozumiała. — A szkoda, bo kamera pięknie uchwyciła w tym epizodzie wzburzone morze i nastrój na pokładzie; pierwszy to soczysty obraz morza w naszym filmie — niestety pozbawiony tej emocji, jaką daje pełne wciągnięcie w akcję.

Epizod stracił dużo, film mniej — jeśli bowiem skok Uriaszewicza miał być wyrazem jego zaangażowania w sprawę uruchomienia portu, zaangażowania rozumianego jako świadome opowiedzenie się po stronie socjalizmu, budownictwa w nowej Polsce — to takie rozumienie jego kroku jest za mało podbudowane w scenariuszu i nawet pełna czytelność tej sceny nie prowadzi do tak daleko idących wniosków; ten fragment filmu nie dorzuca jasnych elementów do charakterystyki przemiany Uriaszewicza. Ale ten świeży przykład przypomniał mi o innych, ważniejszych.

Wspominam o „Uczcie Baltazara", bo morski epizod jest wart zauważenia przez swoją typowość. Ten sam błąd niepełnej ekspozycji szczegółu istotnego dla rozwoju akcji czy charakterystyki bohatera powtarza się w innych filmach. Nie, nie mam zamiaru atakować jeszcze raz „Pościgu", czy „Niedaleko Warszawy" — ale filmy, w których ze względu na ich wartość i problematykę tego rodzaju błędy są w konsekwencji groźniejsze.

Przykłady? Proszę: w „Piątce z ulicy Barskiej" jedyny raz w filmie spotykamy się z określeniem stosunku chłopców do zabójstwa Radziszewskiego, gdy po rozstaniu się z dywersantem Zenonem — Marek mówi: „Myśmy temu nie zawinili". Niemal zanim skończył mówić, a jego słowa jeszcze nie dotarły do widza, oślepia chłopców nagły błysk latarki. Całą uwagę widza pochłania światło i milicjant. Jego wkroczenie na scenę nie posuwa akcji — natomiast słowa Marka przepadają. Dalej: „Gdzie się podział Franek?" — to typowe pytanie po wyjściu z kina. Nie każdy zwrócił uwagę na kilka słów, którymi kwituje się jego powtórne aresztowanie — a tym samym otwiera problem klęski wychowawcy i jego metod (w tym wypadku).

W „Celulozie", gdy Korbal wżenił się w rodzinę masarza, na ekranie pojawia się na mgnienie oka szyld sklepiku zakładanego przez tego „łobuza od korony polskiej" na Grzywnie. Ten szyld niesie całą pointę. Ale ilu z widzów go zauważa? W domu Czerwiaczkowej Szczęsny waha się, czy ma jeść galaretkę z nóżek nożem czy widelcem, decyduje się dopiero po zerknięciu na rękę Zochy. Tych kilka klatek filmu mówi więcej i lepiej o Szczęsnym niż niejeden długi dialog — ale cięcie montażowe jest tak szybkie, że treść obrazu jest niemal nieuchwytna. Jest takich przykładów więcej.

Zagadnienie tylko warsztatowe? — Nie, te pozorne marginalia decydują o odbiorze filmu przez widza. Takie właśnie drobiazgi budują plastyczną sylwetkę bohatera, często decydują o zrozumieniu akcji. By były uchwytne dla widza w pełni — czasem muszą być lepiej podbudowane w scenariuszu — tak jak podbudowane jest tęskne spojrzenie Madzi i Szczęsnego w „Pod gwiazdą frygijską" na dziecko Gawlikowskich — czasem wystarczyłoby po prostu o sekundę (dosłownie) dłuższe wyświetlanie. Dla montażysty obraz jest jasny, on go widzi po raz setny i zna doskonale — ale widz, który musi zaobserwować nowy dla niego szczegół, zanalizować go i wyciągnąć wnioski, potrzebuje więcej czasu.

(Uwaga na marginesie: nie oznacza to oczywiście, że należy uważać widza za durnia, dla którego konieczne i niezbędne są „ułatwienia" w postaci prymitywnych komentarzy i scen „podsumowujących akcję, co wciąż jeszcze pokutuje w niektórych filmach).

Ale filmy oglądane są nie tylko na specjalnych pokazach, w czasie których możliwie dobra aparatura wyświetla możliwie dobre kopie, lecz również w normalnych, przeciętnych kinach. I tu często zaczyna się dramat. Trudno mówić o precyzji szczegółu na ekranie przeciętnego kina. Kopie i projekcja są źródłem wielu nieporozumień.

34 miliony widzów na wsi, 117 milionów widzów w miastach — sto pięćdziesiąt milionów oglądało filmy w zeszłym roku. Potężne liczby, piękne liczby. Ale co się za nimi ukrywa, co ogląda widz? Gdyby tak oprócz statystyki ilościowej można było prowadzić statystykę jakościową... K. Rudzki na naradzie SPATIF-u rzucił projekt, by oprócz prawdy o człowieku n a ekranie poznać prawdę również o człowieku p r z e d ekranem (jako że wśród ról w filmie rola widza jest jedną z najtrudniejszych). Jak wspaniale były zniekształcone niektóre dialogi w „Celulozie"!

To, czego widz nie widzi, to — po prostu — nie istnieje. N j i k-szy wysiłek twórcy jest wówczas zmarnowany, wymowa najsilniejszego obrazu zawisa w próżni. Nie obraz na taśmie celuloidowej, lecz jego odbiór przez widza decyduje o filmie.

(ZL)

ALEKSANDER ROGALSKI

Niespodzianki i odkrycia

KAFKA, KAFKA...

UPORCZYWE trwanie mody na Kafkę jest jedną z najbardziej uderzających cech powojennego życia literackiego w Niemczech zachodnich. Żywotność „kafkaizmu" obserwuje się zresztą i w innych krajach zachodnio-europejskich. Nie ulega wątpliwości, że jest to zjawisko symptomatyczne. Widocznie świat koszmaru, beznadziejności, fatalizmu, jaki ukazuje Kafka w swych utworach, odpowiada znakomicie nastrojom panującym w kołach inteligenckich i burżuazyjnych Zachodu, a wypływającym w dużej mierze z ogólnej sytuacji politycznej tych krajów.

Prócz nowych wydań powieści Kafki ukazał się ostatnio jego „Dziennik" z lat 1910—1923, przygotowany pieczołowicie i skompletowany przez przyjaciela i największego propagatora sławy Kafki, Maxa Broda. Książka wyszła w Nowym Jorku i zawiera 735 stron. Dziennik ujawnia m. in. żywe zainteresowanie pisarza Goethem, o którym zresztą sądzi, że „potęgą swych dzieł wstrzymał rozwój języka niemieckiego".

We Frankfurcie nad Menem opublikowano jego „Listy do Mileny". Tak było na imię czeskiej tłumaczce dzieł Kafki. Spotkał się on z nią w życiu tylko dwa razy, mimo to wywiązała się między nimi „namiętna i bolesna przyjaźń" (Milena przeżyła go o wiele lat a zmarła w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück w r. 1944). „Listy" stanowią ponoć rzadki dokument psychologiczny. Kafka, którego dzieło literackie odznacza się wielką powściągliwością zasłaniając wszelką aluzję nieprzejrzystą alegorią, obnaża się z osobliwym bezwstydem najpierw w swym dzienniku osobistym, a następnie, i to w jeszcze większym stopniu, w tych listach do Mileny. Świadczą one o niezwykłej wylewności uczuciowej i o wystawianiu na pokaz trwogi i słabości. Miłość oznacza dzielenie cierpienia. W jednym ze swych ostatnich listów do Mileny pisze nawet tak: „Miłość polega na tym, że ty jesteś nożem, z pomocą którego dokonuję sekcji swojej duszy". Ale w zaklęty krąg swej nadwrażliwości, swej obsesji grzechu, swej prostracji, swego nieszczęścia wciąga on drugiego człowieka stając się niemal bezwiednie „najsubtelniejszym" jego katem.

Z licznych książek o Kafce wymienić można studium syntetyczne S. Reissa, profesora uniwersytetu londyńskiego, (zresztą przy katedrze nauk ekonomicznych i politycznych!) pt. „Franz Kafka. Eine Betrachtung seiner Werke". Wyszło ono w Heidelbergu. Autor analizuje główne tematy twórczości Kafki, a więc: strach przed samotnością, a raczej przed izolacją, poczucie nieokreślonej winy, problem sprawiedliwości, bezsens wszelkiego wysiłku, nicość rozumu, świadomość niemocy ludzkiej i deklasacji społecznej. Następnie usiłuje Reiss wniknąć w tajniki sztuki Kafki, w jego system symbolów i w jego styl. Wynik badań zamyka w stwierdzeniu, że „nikt nie posiadał lepszych odeń warunków do tego, by stać się wyrazicielem początków obecnego wieku, tak burzliwego i pozbawionego busoli". Umiał on swój własny zamęt wewnętrzny tak przetransformować, że odzwierciedlił zamęt, panujący w duszach tysięcy ludzi współczesnych. W tym mieści się tajemnica niezwykłego rezonansu, jaki znalazło jego dzieło w społeczeństwach zachodnich w ich schyłkowej fazie burżuazyjnej.

NOWY UTWÓR TOMASZA MANNA

Z dekadencją zachodnio-europejską bardzo wiele ma wspólnego twórczość Tomasza Manna. Lecz temat ten został przez autora „Czarodziejskiej Góry" tak zorkiestrowany, że dzieło jego uzyskało znaczenie wykraczające daleko poza ramy jakiejkolwiek mody.

Nowy jego utwór — dłuższe opowiadanie „Die Betrogene" (Oszukana) — stał się, podobnie jak poprzednie jego dzieła, przedmiotem ożywionej dyskusji na łamach czasopism i — sprzecznych ocen. Dzieje miłości starzejącej się kobiety do młodego Amerykanina (rzecz dzieje się w Niemczech zachodnich po pierwszej wojnie światowej) zamyka opis choroby raka u bohaterki, tak bezlitosny i gruntowny, że mógłby przynieść zaszczyt każdemu podręcznikowi medycyny. Brutalny efekt kontrastu wywołuje wrażenie szokujące. Głównie z tego powodu katolickie czasopismo wiedeńskie „Wort und Wahrheit" osądza utwór Tomasza Manna negatywnie. Wywodzi ono, że podziw dla mistrzostwa narracji i dla suwerenności, z jaką styl pisarza przyswaja sobie wszelki temat, nie zdoła zatrzeć nader przykrego rezonansu opowiadania w duszy tysięcy ludzi, zmuszonych przeżywać bezsilnie męki swych najbliższych, dotkniętych tą okrutną chorobą. Wprawdzie nie ma się tu do czynienia z sadyzmem szeroko dzisiaj na Zachodzie rozpowszechnionej tzw. czarnej literatury, w której brutalność przedstawia się dla samej brutalności. Wprawdzie w opowiadaniu mieści się pewien rodzaj mądrości, polegającej na stwierdzeniu, że nie może istnieć „wiosna bez śmierci" i że „śmierć jest wielkim narzędziem życia". A jednak — jakże „uboga i znużona" wydaje się taka filozofia! „O ileż bogatsze są możliwości innej łaski — pisze „Wort und Wahrheit" — które jednak nie są do pomyślenia bez wiary w miłosierdzie, nieznane staremu człowiekowi, co pisał „Oszukaną".

Inaczej zupełnie interpretuje ostatni utwór Tomasza Manna krytyk marksistowskiego dziennika berlińskiego „Tägliche Rundschau", Martin Gregor. Jego zdaniem, zasadniczym tematem opowiadania jest problem zniszczenia. Podobnie jak „Doktor Faustus" mówi ono o losie Europy, lecz jest bardziej jeszcze pesymistyczne. Beznamiętność i realizm przedstawienia podkreślają tylko funkcję ideową utworu jako „ostatecznego, poważnego ostrzeżenia Europy zachodniej" przed złudną a niszczycielską pełnią życia. Mimo, iż akcja opowiadania odbywa się w innym momencie historycznym, jest ono na wskroś aktualne. A choć sam Tomasz Mann o genezie ostatniego utworu wypowiadał się raczej bagatelizująco, oświadczając, że „wypełnił życiem anegdotę, która doszła do jego uszu", krytyk z „Tägliche Rundsch u" wiąże nowelę pisarza z sytuacją, w jakiej zastał on Europę po swym powrocie: humanista Tomasz Mann mógł tylko jedno uczynić — uderzyć w dzwon alarmowy.

KSIĄŻKA O TOMASZU MANNIE

Jednym z najbardziej pasjonujących problemów, które dręczą Tomasza Manna, jest zagadnienie czasu. Zwróciło na to uwagę wielu krytyków, a ostatnio jeden z nich, Richard Thieberger, ogłosił w Baden-Baden osobne studium pt. „Der Begriff der Zeit bei Thomas Mann". Zostało ono jednak napisane już w r. 1938 i dlatego ogranicza się tylko do „Czarodziejskiej Góry" i do trzech pierwszych tomów „Józefa i jego braci". Autor podkreślił jeden ciekawy szczegół: Tomasz Mann wyznał w którymś ze swych listów, że przed wydaniem „Czarodziejskiej góry" nie znał absolutnie ani dzieł Bergsona, ani dzieł Prousta, a więc autorów, którzy ogromnie wiele światła rzucili na problem czasu. Wedle Thiebergera problem ten występuje u Tomasza Manna w czterech różnych planach: 1) jako artystyczna technika ewokacji przeszłości, interesująca krytykę literacką; 2) jako psychologiczna koncepcja czasu w jego jakościowych odmianach; 3) jako obowiązek wyzyskania czasu, spoczywający na ludzkości, co znów interesuje moralistę; i wreszcie 4) jako metafizyczne ujęcie czasu w jego stosunkach z wiecznością.

Aleksander Rogalski